

# MYSŁ NARODOWA

## TYGODNIK POSWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 11

WARSZAWA, 17 MARCA 1929 R.

CENA NUMERU 80 gr.

### NA CZWORAKACH

**P**UBLICYSTA narodowy tem różni się od mecha-  
nika radosnej chwili bieżącej, że patrzy na te-  
rażniejszość okiem historyka, to znaczy patrzy  
na nią z wyżyny wysuniętej w przyszłość. Ten spo-  
sób widzenia wytwarza się w duszy narodowej dlatego,  
że ona przeszłość narodu widzi tak, jakby ją oglądała  
własnymi oczyma. Taka metoda patrzenia pozwala do-  
strzec w życiu płynącym linie zasadnicze, z pominię-  
ciem anegdot, personaljów i legend fałszowanych. Im  
gorliwiej, współczesność usiłuje pod tym względem  
wzrok pomylić, siląc się na zaćmienie historii efektami  
radości i niespodzianek, tem ściślej przestrzegać trzeba  
powyższej zasady.

Historji to nie zmyli, że tak głośno rozlegają się  
w Polsce dzisiejszej okrzyki radosnej twórczości, re-  
nesansu, genialności i t. p. Stwierdzi ona, że Polska  
w tej dobie była chora, że te okrzyki głoszone były  
w malignie. Diagnoza dojdzie z łatwością, na co cho-  
rowaliśmy. Organizm długo skrępowany kordonami,  
zamknięty w niewoli bez powietrza i ruchu, osłabł  
i, zanim zdołał przyjść do siebie po odzyskaniu wol-  
ności, uległ infekcji bolszewickiej ze wschodu.

Było coś z grypy politycznej w powietrzu w owe  
czasy. W reklamach pewnego środka lekarskiego na  
grypę w dziennikach ówczesnych w Warszawie przed-  
stawiano bakcyła tej choroby jak szatana z dyscypliną  
w rękę, zakończoną ołowianymi kulkami. Przykra ta  
choroba i niebezpieczna atakowała wszystkie organy,  
nie oszczędzając mózgu; gorączka rodziła fantasmagorje.

Nie sposób wyobrazić sobie, żeby gnijące wiel-  
kie cielsko Rosji nie działało na atmosferę w Polsce.  
Podziwiać należy siłę organizmu cywilizacji polskiej,  
że choroba nie skończyła się katastrofą, że owszem  
ogół narodowy oparł się zarazie. W Rosji w owe cza-  
sy, że przytoczymy tylko jeden przykład, zwolnione  
z więzów rodziny dzieci zbijaly się w gromady i jak

szarańcza wędrowały z miasta do miasta, plądrując  
i napastując. Straszny był los ludzi, którzy szarańczy  
tej chciały stawiać opór; dzieci zagryzały ofiarę lub  
zakazały od ukąszenia chorobą śmiertelną. Dzieci te  
były chore i zabijałyby nawet pocałunkiem. To był  
najniższy szczebel, na jakim Rosja się znalazła. A pod  
ten czas w Polsce dzieci pilnie się uczyły w szkołach  
i wyrastały na młodzież pełną aspiracji narodowych  
i tyle lepszą od poprzednich młodych pokoleń, że od-  
uczona socjalizmu, którego doktryny pół wieku niemal  
niszczyły w Polsce dorobek ludzki. Zastarzały socja-  
lizm odezwał się w kościach niedobitków wielkiej  
wojny, którzy rychło mieli zemrzeć bezpotomnie. Ich  
to był łabędzi śpiew w owej radosnej twórczości,  
która opóźniła Polskę w rozwoju.

Zaraza bolszewicka szła do Polski w drodze na-  
turalnej przez ludność mieszaną na pograniczu i przez  
młodzież żydowską. Ten bolszewizm, ścigany policyjnie,  
mało miał szans wśród ludności. Daleko charakte-  
rystyczniejszy był bolszewizm bezwiedny, suggero-  
wany inteligencji przez te same organizacje tajne,  
które protegowały rewolucję w Rosji, a realizowany  
nawet przez tych, którzy walczyli z komunizmem.

Żeby zrozumieć tych kilka lat dziejów Polski,  
które się mitrężyły na próbach rewolucji zgóry, trzeba  
sobie uprzytomnić, że strefa kultury na wschodzie  
Polski mocno była zażębiona z Rosją etnicznie i oby-  
czajowo, co odpowiadało też różnicom wśród inteli-  
gencji. Bezwiedność bolszewizmu tem się tłumaczy,  
że typ wschodni, do tych prób użyty, nie znosił at-  
mosfery cywilizacji zachodniej, a sam bolszewizmem  
zarażony, nie umiał zrozumieć swego oblicza w lustrze  
rzeczywistości. Wyobrażał sobie, że mu uderza do  
głowy genialność osobista.

Jakie zaś były różnice w kulturze, świadczą fak-  
ty, że np. rekruci z nizin pińskich, odesłani do Wiel-



kopolski, dmuchają na żarówki, aby je zgasić, a były takie obrazki, że rekrut szedł na schody na czworakach, jak po drabinie. Te same różnice istniały w kulturze wyższych uzdolnień wśród inteligencji, jeśli chodzi o pojęcia w zakresie stosunku państwa do narodu, do praworządności, pojmowania wolności, odpowiedzialności i t. p. Dużą też rolę odgrywali tu Żydzi, jako mentorowie, nadmiernie spoufaleńcy na wschodzie z duszą polską, ci sami Żydzi, którzy położyli Rosję na obie łopatki.

Masoneria, działająca dawniej z ukrycia, postawiła na ten gatunek ludzi, jak na kartę, a wysiłek jej był tak duży, że się ujawniła i działała już bezceremonialnie. Uwidoczniło się jej działanie w tem, że potrafiła złączyć swoich adeptów z różnych ugrupowań politycznych, nawet konserwatywnych, podczas gdy sama koncepcja „uzdrawiania” społeczeństwa była czysto socjalistyczna, pokrewna bolszewickiej. Główne dyspozycje psychiczne, które tej grze dawały sens, były oparte na idjosynkrazji do cywilizacji zachodniej z całym jej stylem jednostki odpowiedzialnej za naród i przedstawiającej indywidualność autonomiczną, ze stylem praworządności, ładu i t. p. Były to bezwiedne tendencje wschodu rosyjskiego.

Wadą wzrokową społeczeństw niewyroblonych politycznie jest także to, że poznawanie zatrzymuje się na formułach i nazwach, nie docierając do rzeczy samej. Czy polskie nie tyle widziały w Sowdepji kupę gruzów, ile wczytywały się w napisy na słupach z wykładnią bolszewicką i pocieszały się tem, że w Polsce tych napisów niema. Przeszkadzało to widzieć prawdę dążeń rozkładowych przemycanych pod innymi hasłami

W fakcie t. zw. bolszewizmu, jako przewrotu było może 10% idei, teorii, celowości, programu, a 90% mamy gołego faktu psychicznego i fizycznego w postaci rozkładu, rozkładu zasad, stosunków, dobroku — przeczenia i zniszczenia. Bunt ten jest zjawiskiem psychicznym, buntem przeciwko duchowi cywilizacji zachodniej, bo nie przeciwko uciskowi zewnętrznemu. Nie zrozumiemy inaczej faktu, że bolszewicy tak łatwo przystali na ten ucisk, który przecież jest większy niż za carów. Chodziło im o uwolnienie się od ucisku wewnętrznego od przymusu moralnego względem siebie samego, o Wolność opuszczenia się, pofolgowania sobie, zupełnego uproszczenia życia wewnętrznego. Błędne jest mniemanie, że barbarzyńca szuka wolności zewnętrznej on chce być wolny od wysiłku wewnętrznego To go najbardziej męczy, on pragnie, aby ktoś za niego myślał i odpowiadał.

I tu historia powie, jak było. Konstrukcja pomysłu opanowania Polski już wolnej, powstała gdzieś w drodze doktryny, opartej na przesłance, że Polska jest krajem barbarzyńskim. Przesłanki teoretyczne były trafne, mianowicie, że barbarzyńca chętnie sprzeda wolność polityczną za cenę tej jedynej wolności osobistej, żeby mógł o nic się nie troszczyć i nie dokonywać nad sobą wysiłku wewnętrznego. Stąd wynika

że wyzucie jednostki z życia wewnętrznego jest najlepszym sposobem opanowania jej środowiska i terenu jej cywilizacji.

Fortecą narodów są dusze ludzkie. Jednostka cywilizowana jest jak samorząd. Wysoka jej odporność, polegająca na dyscyplinie wewnętrznej, umożliwia w życiu i pracę twórczą, opartą na dobrowolności. Jeżeli ten samorząd zniszczymy, to jednocześnie możemy wzmocnić dyscyplinę zewnętrzną, wprowadzić bat. Ba, nie tylko możemy, ale musimy, bo inaczej te jednostki stworzą bandę bez możliwości współżycia.

I oto cały sekret: niszczyć życie religijne, moralność publiczną, dobre obyczaje i wtedy brać bandę w kluby. Wtedy może każdy nad nią zapanować, kto ten grunt sobie przygotował. W Polsce gorliwie pracowano nad tem, aby oswajać ludzi z atmosferą Meksyku i Sowdepji, aby wytworzyć psychozę sadystyczną rezygnowania z dostojności ludzkiego na rzecz życia uprzywatnionego — w niewolniczym posłuchu. Życie wewnętrzne zastępowano żądzą użycia, popędami materialistycznymi, ideowość seksualizmem, a za głównego wroga kazano uważać religję oraz ideę narodową, one to bowiem wytwarzają indywidualności „samorządowe“.

W tej koncepcji widzimy, jak ładnie sprzęga się w działaniu celem liberalizm z socjalizmem i bolszewickim wolnomyślicielstwem. Cały sens wyzwolenia jednostki z „ucisku” społecznego, cały sens owej wolności jednostki sprowadził się do tego, żeby jednostkę zubożyć wewnętrznie, ubezwładnić i poddać tyranii etatyzmu najazdowego.

Najtrudniej umiarkować, kiedy społeczeństwo jest już wyniszczone duchowo i czy można zrobić już zamach na wolność polityczną. Tutaj zdarzył się błąd przedwcześnieści. Jest rzeczą ciekawą, że najpojętniejsze objekty propagandy, przygotowywane do propagandy — literaci śpieszyli się, wyprzedzali swoją nieudolną publicystykę utworami talentu, bo o nie w Polsce łatwo, a w tych utworach antycypowali stan społeczeństwa według swych pożądań (i stanu własnego), przedstawiając je, jako już rozłożone. Chciano w ten sposób przyspieszyć akcję, przytwierdzić, że istotnie już czas działać batem. Typowym zjawiskiem literackim w tym duchu jest powieść Kadena Bandrowskiego na tle środowiska pracy w zagłębiu węglowym, gdzie wszyscy ludzie od dołu do góry przedstawieni są jako bydło. Są tam całe sceny, gdzie już ludzie nie mówią, tylko walą się w zęby. Ordynarne oszczerstwo, dokonane na użytek propagandy niewolnictwa.

Jednym słowem owa groza Europy i Polski w postaci bolszewizmu rosyjskiego składa się z dwu zasadniczych momentów: 1) rozkładu dawnej cywilizacji aż do podstaw psychiki w jednostce i 2) z momentu skrępowania jednostki i całości społecznej ustrojem socjalistycznym, który za jednostkę i za społeczeństwo sam będzie myślał i robił. Oba te momenty różniami pozornie drogami, ale na jedną komendę znalazły zastosowanie w Polsce. Im bardziej celowo i jawnie do tego się brano, tem więcej krzyczano



1) o sanacji (gdy na oku był rozkład) i 2) o tem, że socjalizm jest zasadniczo czemś różnym do komunizmu. W gruncie rzeczy, kto umiał odróżnić rzecz od pozorów, ten widział, że ani rozkład moralny narodu, ani etatyzacja życia zbiorowego nie mogły powtórzyć się w cywilizowanej Polsce ściśle według wzoru rosyjskiego. Usiłowania jednak były te same.

Im ciężiej szło w Polsce z rozkładem moralnym, tem większy nacisk kładziono na moment ustrojowy. Rok 1929 ujawnił w całej pełni rozmach w tym kierunku zarówno w dziedzinie ustroju politycznego, jak i ustroju gospodarczego. Kryjome zrazu próby etatyzacji musiały znaleźć swój wyraz. Najgładziej dokonywają się takie rzeczy w drodze zamachu, tymczasem nie zdołano pozbyć się parlamentu, więc etatyzm jednocześnie z reformą ustroju stał się przedmiotem powszechnej dyskusji.

Nie było chyba na świecie społeczeństwa cywilizowanego, któreby dobrowolnie takie reformy uznało za dobre. Borykał się oddawna z tem zagadnieniem socjalizm. Etatystyczna bowiem gospodarka jest najlepszym środkiem zniszczenia dóbr społeczeństwa i dlatego tak opiekują się socjalizmem siły, pragnące społeczeństwo opanować i eksploatować. Od komunizmu socjalizm różni się ilościowo tem, że jest środkiem powolniejszym, ale równie skutecznym, jeśli dojdzie do władzy. Ale że siła, planująca takie roboty, istnieje gdzieś ponad socjalizmem, mamy dowód w ruchu etatystycznym w Polsce, w którym brali udział na jakąś komendę nie tylko socjaliści (Federacja pracy, Zespół Stu i t. p.). A zjednać te siły dla sprawy tak

złej było dlatego tak łatwo, że atmosfera była zakażona postrachem i defetyzmem.

Przeglądając kroniki życia publicznego w Polsce po r. 1926, spotykamy nieznany dotąd w dziejach objaw dobrowolnego wyrzekania się przez jednostkę siebie samej na rzecz władzy zewnętrznej. W senacie warszawskim w marcu 1929 r. dwu mówców jednego dnia z emfazą oświadczyło, że dumni są z tego, iż ich stronnictwo (rządowe) nie ma programu. Myśli za nich kto inny! Bywały rozmowy w towarzystwie, jakichby się nigdy w Polsce dawniej nie słyszało. Ktoś na zapytanie, co myśli o sytuacji, odpowiadał: Ja nic nie myślę, od tego jest kto inny.

Taki stan umysłów robi wrażenie, że istniała sekta — na wzór znanej w Rosji — kastratów, dążących do przerwania gatunku, sekta tem bardziej zastanawiająca, że w naturze duszy polskiej leży autonomiczność jednostki łatwa do współżycia, bo skłonna do dobrowolności świadczeń, ale ceniąca swoją indywidualność. Natura taka wymaga mądrej szkoły życia publicznego, aby nie robiła zawodu, nigdy jednak nie można jej uważać za idjotyczną i liczyć, że da się skrepić w formy współżycia komunistycznego. Ci, którzy się chełpią, że sami już nie myślą, bo kto inny za nich myśli, udają tylko idjotów, żeby się podobać.

Dusza społeczeństwa polskiego jest bardziej złożona, jako twór cywilizacji zachodniej. Do cywilizacji zachodniej wiodą wysokie schody, niecierpliwiące tych, którzy na nie wchodzą na czworakach. Tak samo nie da się przez dmuchanie zagasić ideału życia narodowego, najcenniejszego dorobku cywilizacji polskiej.

ZYGMUNT WASILEWSKI

## KONSERWATYZM NA ROZDROŻU

**R**OZMIARY książki (przeszło 200 stronic) i tytuł, brzmiący bojowym hasłem, zwracają na siebie uwagę tembrzej, iż autor, p. Jan Bobrzyński, zapowiada w podtytule, że zaznajomi czytelnika z dziejami odrodzenia myśli konserwatywnej w Polsce<sup>1)</sup>.

Już przez samo użycie wyrazu „odrodzenie“ autor narzuca niejako czytelnikowi myśl, że konserwatyzm znajdował się widocznie w zaniku czy upadku, z którego obecnie zaczyna się odradzać. Istotnie, już w przedmowie swej książki, na którą składają się artykuły, umieszczane w ciągu lat dwóch na łamach „Dnia Polskiego“, autor stara się przekonać czytelnika, że chociaż moment rozwoju myśli konserwatywnej zbiega się z terminem zamachu majowego, to jednak, gdyby nawet przewrotu nie było, to „odradzająca się z młodzieńczym pędem myśl konserwatywna byłaby znalazła sobie inne drogi na arenę życia publicznego“.

Zanim podążymy za autorem na szlaki odradzającego się konserwatyzmu, należałoby wprzód porozumieć się, o jakim konserwatyzmie będzie mowa. Niestety w Polsce pod tym względem panuje zupełny zamęt pojęć, którego książka pana B. nie tylko nie rozprasza, lecz przeciwnie pogłębia go i utrwała. Bo np.

jeśli znajdziemy się w jakim cudzoziemskim kraju, to wystarczy pobieżne przejście dzienników, reprezentujących odmienne kierunki myśli politycznej, ażeby na podstawie typowych i niezawodnych cech odróżnić organy zachowawcze od tych, które krzewią idee liberalizmu, postępu czy przewrotu społecznego. Tymczasem w Polsce taka segregacja przedstawia nieraz poważne trudności. Zdarza się bowiem, że im głośniejsze dane pismo zaznacza swój konserwatyzm, z im większym tupetem stara się uchodzić za jedyny organ myśli zachowawczej, tem częściej na jego właśnie szpaltach znajdujemy twierdzenia, które wydają się jakby żywcem zapożyczone z programu stronnictw liberalnych, a nawet wywrotowych. Często znów odwrotnie pisma, mające za sobą długą tradycję służenia sprawie ładu i porządku społecznego w imię ideałów chrześcijańskich i narodowych, są zaliczane przez mniemanych konserwatystów do organów, reprezentujących integralny radykalizm, a nawet oskarżane o antypaństwowe dążenia. Jednocześnie szermierze odradzającej się jakoby idei konserwatywnej skłonni są do przeceniania swych zasług, ignorując z umysłu wszystko, co kiedykolwiek było przed nimi dokonane. Wydaje im się często, że jutrzienka idei zachowawczej w Polsce rozbłysła dopiero w chwili, gdy oni poczęli ją głosić, przedtem zaś panował chaos, w którym rozpiętane moce piekielne radykalizmu, demagogji i prze-

<sup>1)</sup> Jan Bobrzyński „Na drodze walki“ Warszawa 1928 r.



wrotu społecznego hulają swobodnie po ziemi polskiej, grożąc jej niechybną zagładą.

Autor książki jest jednym z tych bojowników konserwatyzmu, którzy nie chcą uznawać, żeby przed nimi i poza nimi ktoś w Polsce nad wzmocnieniem idei konserwatywnej pracował lub przed niebezpieczeństwem hasła wywrotowych ostrzegał. W artykułach swoich, pisanych w drugiej połowie 1925 roku, p. Bobrzyński z dużym nakładem swady i temperamentu chłoszcze niemiłosiernie cały ówczesny system rządzenia Polską, wskazując przytem jego bolączki i niebezpieczeństwa. A więc: etatyzację, tamującą gospodarczą twórczość jednostki, zachwianie prawa własności, prześladowanie pracy, szkodliwy dla produkcji rozrost ustawodawstwa socjalnego, no i wiele innych niedomagań, które wszystkich ludzi, trzeźwo na świat patrzących, przejmowały troską o rozwój i byt naszej młodej państwowości. Można nawet zrozumieć, że p. B., działając w interesie stronnictwa i organu, w którym pisał, stara się niejako zachować pierwszeństwo tych spóźnionych rewelacji dla siebie i swoich kolegów politycznych, ale trzeba w takich razach zachować właściwą miarę. Tymczasem p. B. tak dalece przejmując się rolą wynalazcy rzeczy nieznanych, że jednemu z tych artykułów daje tytuł „Kiereńszczyzna“ i rozpoczyna go od następującej nowiny: „coraz częściej pojawia się na łamach prasy i w rozmowach prywatnych złowrogi wyraz Kiereńszczyzny dla scharakteryzowania sytuacji i jako perspektywa groźnej przyszłości“. Należy przypuszczać, że autor w pierwszych latach istnienia państwa polskiego brał żadnego udziału w życiu politycznym, bo wakiy wiedziałby, że odkrycie, zrobione przezeń w końcu 25 roku, już na 7 lat przedtem t. j. w listopadzie i w grudniu 1918 r. było, niestety, faktem przez całą państwową opinię stwierdzonym.

Czemże bowiem jeśli nie Kiereńszczyzną w najgorszym gatunku był rząd robotniczo-włościański w Lublinie wraz ze swą słynną odezwą, wywołującą falę strajków, gwałtów i wywłaszczeń? A czyż późniejszy rząd Moraczewskiego, który inwestyturę swej władzy otrzymał niejako w sposób legalny, nie był dalszym ciągiem tego socjalistycznego zamachu? Nie wiem, gdzie byli wtedy dzisiejsi konserwatyści i co robili, aby przeciwdziałać grozie socjalistycznego przewrotu, wiszącej nad krajem, ale to wiem, że z duchem Kiereńszczyzny w życiu państwowym walczyła cała zdrowo myśląca część społeczeństwa polskiego. Była to zaiste praca syzyfowa, bo nie tylko trafiała na systematyczny opór ze strony czynnika najbardziej miarodajnego, który wówczas wszelkie wysiłki żywiołów umiarkowanych paraliżował, lecz nadto już po zwołaniu sejmu ustawodawczego nie znalazła poparcia w sferach, w których przedewszystkiem należało się go spodziewać. Mam tu na myśli współwyznawców i prekursorów autora, zgrupowanych w t. zw. Klubie Pracy Konstytucyjnej, którego taktyka w sejmie grawitowała przeważnie ku lewicy, inicjując metody szkodliwych konszachtów i kompromisów, dokonywanych głównie w imię hasła nienarazania się czynnikowi decydującemu.

Jeśli więc mniej lub więcej wyraźna Kiereńszczyzna trwała przez lat siedem, a nawet obecnie w brzasku nowej ery bodajże się wzmacnia i stabilizuje, to jej żywotność należy przypisać tym ludziom, którzy zapóźno spostrzegli jej istnienie i ponieważ dopiero zaczęli ją zwalczać.

Nie spierajmy się jednak o daty i bądź co bądź zapiszmy na dobro odradzającej się myśli konserwatywnej mocną i śmiałą krytykę doktryn radykalnych. I lubo twierdzenia i poglądy, które znajdujemy na

pierwszych kilkudziesięciu stronicach książki, nie mówią nam nic rzeczywiście nowego, to jednakże w trudnej sytuacji politycznej i gospodarczej, w jakiej się społeczeństwo wówczas znajdowało, fakt zyskania świeżych sojuszników był objawem cennym i pożądanym. Wszelako pod jednym warunkiem, a mianowicie, że krytyka ustroju nie ograniczy się do retorycznych popisów, lecz zaznaczy się czynnym udziałem w walce ze wspólnym wrogiem.

Otóż pod tym względem czytelnika książki spotyka zupełny zawód. Wiemy, że w końcu 1925 r. została zrobiona przez sfery parlamentarne próba stworzenia wspólnego rządu pod hasłem zgody powszechnej i sanacji gospodarczej. Zamierzenia nowego, z wielkim trudem stworzonego rządu znalazły najdokładniejszy wyraz w mowie ministra skarbu Zdziechowskiego, której autor poświęca bardzo obszerne sprawozdania. Lecz — o dziwo — mowa ministra, lubo w głównych swych zarysach idąca po linii postulatów autora książki, zamiast zyskać sobie jego gorące uznanie, daje mu jedynie asumpt do wielu bardzo stanowczych zastrzeżeń. A przecież zdawałoby się, że obóz odrodzonego konserwatyzmu skorzysta skwapliwie z nadarzającej się sposobności, aby całą siłą materialnych i moralnych wpływów poprzeć ministra, który odważył się, zamiast dotychczasowych mglistych obietnic, wskazać społeczeństwu surowe, realne, nieprzedawnione prawa ekonomiczne, poza którymi niema dla państwa skutecznego ratunku. Wszak było rzeczą jasną, że minister, który w gabinecie koalicyjnym zdobył się na śmiałe wypowiedzenie swoich poglądów, nie będzie ich mógł zrealizować, o ile nie znajdzie jednomyślnego poparcia tego odłamu społeczeństwa, który naprawdę łaknął powrotu ustroju państwowego na tory racjonalnej polityki gospodarczej. A tu tymczasem ci, co najgłośniej do tego powrotu wzywali, ci, co najdobitniej piętnowali fałsz i szkodliwość demagogicznych hasła, ci wreszcie, którzy obronę ładu i porządku społecznego uznali za główny kanon swej politycznej wiary, pierwsi usunęli się z terenu walki i usadowili się wygodnie w łożach, aby w charakterze widzów śledzić wynik tych politycznych zapasów.

Autor książki zajmuje także stanowisko obserwatora, zarówno w sprawozdaniu z mowy ministra, jak i w kilku późniejszych artykułach. Dadzą się one streścić w następującym szeregu twierdzeń, pytań i wątpliwości: Tak — rzecz oczywista — zupełną słuszność ma minister, gdy wzywa naród polski do skoordynowania swego wysiłku nie tylko w hasłach czy formułach, ale i czynie, gdy ostrzega, że bez tego runie finansowa podstawa Rzeczypospolitej. Trzeba przyznać, że dotychczas nikt tego tak jasno i brutalnie nie powiedział. Również można przyklasnąć zamierzeniom ministra, gdy przedstawia konkretny plan swoich reform finansowych. Doprawdy szkoda, że ministerstwo skarbu tak późno na tę jedyną drogę wkracza, ale... Tu zaczyna się litanja zastrzeżeń: czy naprawdę minister zdoła ten program zrealizować? czy osiągnie zrównoważenie budżetu, czy podniesie produkcję, zyska kapitały zagraniczne, ograniczy pośrednictwo w handlu, nałoży hamulec na spekulację? „Dobrzeby to było — mówi autor — ale *risum teneatis amici*“. Zresztą dla czego minister koalicyjnego gabinetu zaraz w pierwszej swej mowie nie powiedział wyraźnie, że chce „zburzyć główną twierdzę i kuźnię chronicznej katastrofy gospodarczej: radykalizm i jego t. zw. zdo-bycze“. A skoro nie powiedział, czy powiedzieć nie mógł, to obóz konserwatywny musi się mieć na baczności wobec ministrów, którzy — i tu wielki frazes patrijotyczny, usprawiedliwiający wstrzemięźliwość —



„walczą z drobnymi szkodnikami, spekulującymi na czarnej giełdzie, ulegają zaś wielkim, którzy spekulują całą ojczyzną“. Dalsze artykuły dolewają jeszcze oliwy do ognia, co uwidoczni się choćby w tytułach artykułów jak np. „Ostatnia chwila“, „Jak długo jeszcze?“, „Co dalej?“ i t. p. Gdy zaś wobec tej niezycziwej a nawet wrogiej taktyki żywiołów ładu i porządku nastąpiła katastrofa, a na ulicach Warszawy zaświstały kule, obóz odradzającej się myśli konserwatywnej ujrzał w przewrocie tym jutrzenkę nowej ery, a autor omawianej przez nas książki, rzucił pióro, aby zająć się czynnie organizacją stronnictwa Prawicy Narodowej.

\*

Następna serja artykułów pana Bobrzyńskiego rozpoczyna się dopiero w początku 1927 roku. Wszystkie znaki na niebie i ziemi zdają się rokować sukcesy polityczne nowoutworzonemu stronnictwu Prawicy Narodowej, to też autor napina struny swej harfy na wysokie tony, wieszcząc obozowi swemu spełnienie wielkiego postannictwa w życiu państwowem. Horyzont, choć miejscami jeszcze chmurami zasnuty, wyjaśni się niewątpliwie pod wpływem przemożnej woli wielkiego sternika, który nie nadarmo przecie konserwatystów do swego boku powołał. Czem bardziej przejmuje się autor wiarą, że teraz dopiero nastąpi okres prawdziwego rozwoju mocarstwowego Polski, tem większego nabiera wstrętu do wszystkiego, co się przedtem działo. W poprzednich siedmiu latach życia państwowego nie widzi ani jednego jaśniejszego punktu, niczego, coby można nazwać pracą dla przyszłości Polski. Przeciwnie wszystkie ciemne moce sprzyściły się wtedy, aby Polskę zepchnąć na dno przepaści, to też autor w swej charakterystyce przeszłości znajduje jedynie słowa potępienia w czambuł wszystkich działaczy politycznych, nie szczędząc im oskarżeń o partyjnictwo, antypaństwowość, radykalizm, demagogję, a przedewszystkiem o żerowanie na państwie. Kto, gdzie i na czem żerował, tego autor nie mówi, jakoteż nie przytacza na to w całej książce ani jednego dowodu, pozwala tylko domyślać się czytelnikowi, że z nielicznymi wyjątkami wszyscy ówczesni działacze byli złodziejami grosza publicznego. Dopiero po roku takiego stawiania ludzi pod pręgierz w jednym z ostainich artykułów przychodzi autorowi refleksja, że może nie wszyscy przedtem tylko o sobie myśleli.

Stojąc w ogniu walki wyborczej, która się już wtedy rozpoczęła, autor musiał często wyjaśniać stosunek swego obozu do wielu spraw polityki wewnętrznej i zewnętrznej, wywołujących wątpliwości wśród członków stronnictwa, a dzięki temu i my znajdujemy zupełnie kategoryczną odpowiedź na pytanie, postawione poprzednio, a mianowicie, dlaczego obóz konserwatywny nie tylko nie popierał, lecz zwalczał konserwatywne z ducha i treści postulaty ministra skarbu Zdziechowskiego. Fakt ten tłumaczy się przedewszystkiem brakiem zaufania do wszelkich poczynań narodowej demokracji, która, pomimo zachowawczych pozorów, jest — zdaniem pana B. — niczem więcej, „jak nacjonalistyczną odmianą radykalizmu“. Ale nie dość na tem. Istnieje jeszcze pomiędzy temi obozami o wiele większa przepaść „podstawowych zapatrywań na istotę i drogi rozwoju naszego państwa“. Bowiem idea wszechpolska, pomimo przeciwnych pozorów, jakoby „usiłuje zamknąć państwowość naszą w szczyłach ramach etnograficznych. Chce państwa wyłącznie narodowego, bo nie rozumie ducha dziejów Polski, który ongiś stworzył z niej wielkie mocar-

stwo, a który i dzisiaj wskazuje jej właściwą misję dziejową i warunki przyszłej egzystencji“. Natomiast konserwatyzm, czując się w prostej linii dziedzicem idei jagiellońskiej, dąży do Polski wielkomocarstwowej, rozciąga państwowość naszą na żywioły obco-plemienne i „musi stworzyć sobie taki ustroj, takie warunki zewnętrzne, aby móc wywierać odpowiednią siłę atrakcyjną na mniejszości narodowe, a zwłaszcza kresowe“.

Autor w wielu artykułach i referatach powraca do tego tematu, a w dążeniu do pozyskania mniejszości idzie tak daleko, że stawia sobie nawet za ideał Niemca pomorskiego, „odpierającego zaborczy zapęd pruski na nasze nadbałtyckie wybrzeże“. Gdzieindziej znów stwierdza, że konserwatyzm „uważa Polskę za kościół, do którego wstęp powinien mieć każdy, kto się uczciwie chce w nim pomodlić“. W wyznaniach tych brzmią jakieś odległe echa z epoki wiosny ludów i jedynie należy podziwiać, że są jeszcze w XX wieku ludzie, zdolni do tak romantycznych wzlotów. Dlatego też czytelnicy z obozu narodowego nie czują się bynajmniej upokorzeni zarzutem nierozumienia ducha dziejów Polski i wyznaczoną im przez autora rolą pomniejszych Polski. Jeśli idzie o stronnictwo krakowskie to znaleźmy jego teorię trójzaborowego lojalizmu, ale, przyznajemy, że o zasługach jego dla idei Polski wielkomocarstwowej dowiadujemy się po raz pierwszy, skutkiem czego cios zadany tą ręką nie tyle boli, ile rozwesela. Atoli jeżeli stronnictwo krakowskie, obecnie przeobrażone w ogólnopolskie stronnictwo Prawicy Narodowej wkacza dziś na drogę rozstrzygnięcia zagadnień wielkiej Polski, to musimy stwierdzić, że program jego w sprawie mniejszości narodowych niczem nie różni się od programu całej zjednoczonej lewicy, ze sternikiem włącznie, którego federalistyczne eksperymenty stawiły Polskę nad brzegiem przepaści. Pewną nowością w tym programie jest szumna nazwa idei jagiellońskiej, którą szerokie sfery opinii publicznej będą prawdziwie zaskoczone, gdyż takie postawienie sprawy rzuca zupełnie odmienne światło na wiele dotychczasowych tarć i nieporozumień na terenie międzynarodowym. Bo naprzykład wśród najszerzych warstw narodu polskiego utwaliło się przekonanie, że różni przyjaciele ludzkości w rodzaju Lloyda George'a, Alfreda Monda, Ferdynanda Buissona, Victora Bascha i wielu innych znanych lub anonimowych, którzy od początku istnienia Polski prześladowali ją swemi pretensjami o krzywdy narodowości przez nas rzekomo uciskanych, i żądali, aby Polska była nietyle kościołem, ile domem zajezdnym, w którym każdy mógłby się rozporządzać po swojemu — że ci politycy europejscy są naszymi nieprzejednanymi wrogami. Tymczasem w świetle poglądów, głoszonych przez obóz prawicowy, należałoby uznać, że było to jedynie fatalne nieporozumienie, zrećnie wyzyskane przez propagandę szowinistyczną. Wszak ci panowie w gruncie rzeczy niczego innego nie pragną, jak wprowadzenie Polski na tory liberalnej polityki narodowościowej i dopomożenia jej przez to do zajęcia należnego jej miejsca w rodzinie wielkich mocarstw światowych. Wprawdzie p. Lloyd George ze swoją przysłowiową ignorancją historyczno-geograficzną będzie pewno nieco zdziwiony — że jak pan Jourdain mówił prozą, nic o tem nie wiedząc i zalecał Polsce ideę jagiellońską, ale skoro się dowie, że polskie stronnictwa prawicy i lewicy właściwie jego program wyznają, to napewno uderzy się w piersi, a nam odpuści nasze winy.



## RZĄD CZY PREZYDENT?

**U**STRÓJ państwa, nakreślony w projekcie rewizji Konstytucji, wniesionym do sejmu przez Blok Bezpartyjny, stanowi najpełniejszy wyraz aspiracji sfer rządzących Polską po maju 1926 r. Jego zarysy spotykamy wszakże przed majowym przewrotem. Bodajże najwcześniejsze sformułowanie tego przyszłego obozu majowego dał obecny minister sprawiedliwości p. Stanisław Car w swym referacie: „Istota i zakres władzy Prezydenta Rzeczypospolitej“, wygłoszonym na I-ym Zjeździe Prawników Polskich w Wilnie w dniu 9 czerwca 1924 r.

W dyskusji nad referatem p. Cara zauważyłem, że tezy jego prowadzą do jakiejś dyktatury w Polsce, że rozszczepiają pojęcie władzy wykonawczej przeciwstawiając rządowi prezydenta, i że rozszerzenie władzy prezydenta powoduje zmniejszenie władzy rządu<sup>1)</sup>. Zbliżone stanowisko w dyskusji zajął inny uczestnik zjazdu, p. Mieczysław Szerer, zajmując również krytyczne stanowisko wobec tez referenta, wszelako bardziej doń zbliżone, niż ja.

Dyskusja ta stała mi w pamięci, gdy do rąk wziętem najświeższą publikację p. Szerera p. t. „Rząd czy Prezydent?“ (Warszawa, 1929 — Hoesick). Wiele się od tego czasu zmieniło, wiele doświadczeń dostarczyło nam życie publiczne w Polsce.

Tezy p. Cara z r. 1924 rozrosły się, skryształizowały się w projekcie Bezpartyjnego Bloku, projekcie, którego jednym z głównych współautorów jest bezwątpienia p. Car.

Miałem możność i z trybuny sejmowej i w prasie zająć stanowisko krytyczne wobec tego nowego, rozszerzonego i uzupełnionego wydania myśli p. Cara, to samo stanowisko, którego ślad z przed 5-ciu laty pozostał w protokule z wymienionej dyskusji: „bez reformy władzy ustawodawczej niema skutecznej naprawy ustroju, a w szczególności naprawy stanowiska władzy wykonawczej“.

Ale i drugi uczestnik owej dyskusji, p. Szerer również ustosunkował się krytycznie wobec odnowionej koncepcji p. Cara, co jest tem znamiennejsze, że p. Szerer należy do obozu „sanacyjnego“.

Na dobro p. Szerera zapisujemy, że stara się on o ścisłość, i w pierwszej części swojej pracy wyjaśnia, na czem polega istota systemu prezydenckiego, przez niektóre koła „sanacyjne“ propagowanego u nas. To wyjaśnienie powinno przekonać czytelnika, że system rządów prezydenckich a hasło „wzmocnienia władzy prezydenta“, tak jak je pojmuje się w Polsce, to dwie rzeczy zgoła różne.

Część druga pracy p. Szerera idzie jeszcze dalej: autor w niej wytacza proces rewizjonistyczny naczelnym hasłom i podstawom programowym obozu „sanacyjnego“. Powtarza wprawdzie tu i ówdzie komunały i frazesy, skierowane przeciw grupom rządzącym w Polsce przedmajowej, lecz jest to wyraz przyzwyczajenia, nawyku myślowego, no i tak przecie wypada pisać autorowi, który jest działaczem „sanacyjnym“; powiem więcej: to pozwala mi tem silniej krytykować tezy „sanacyjne“.

Pan Szerer radby zamienić postulat „silnego rządu“ na żądanie „skutecznej władzy“. Zauważa on pod adresem swych przyjaciół politycznych: „Wybijanie wciąż nuty siły hoduje adorację mocy (ze skutkiem znanym z dziejów ideologii nowoczesnych Niemiec); podkreślanie skuteczności uczy żądania wydajności

pracy administracyjnej. Silny był rząd carski, skuteczny bywa rząd angielski. Silna władza, to interes rządzących—władza skuteczna, to interes społeczeństwa. Wreszcie silny rząd potrafi sprawować byle kto, do sprawowania rządu skutecznego trzeba głowy“. Słusznie mówi on: „siła władzy nie jest celem w sobie, lecz środkiem do celu, którym jest dobro zbiorowości, że więc niekoniecznie wszystko, co daje rządowi siłę, jest to dla nas interesujące“. Zgodnie z rzeczywistością stwierdza p. Szerer (str. 37): „kiedy się mówi: silny rząd, ma się właściwie na myśli obezwładniony parlament“.

I z pod pióra zwolennika „sanacji“ spływa żądanie, które brzmi, jak echo wskazań programowych obozu narodowego (str. 37): „trzeba nasze myślenie polityczne—które, póki uczezione jest pojęcia siły, zasklepia się w kategorjach konkurencji—uczynić dwutorowem, to znaczy kazać mu wyposażać oba czynniki w atrybuty, podnoszące skuteczność i jednego i drugiego, aby i sejm i rząd uczynić równymi wartościami dla rozwoju polskiego życia państwowego“.

A więc i protest przeciwko fałszywej polityce własnego obozu i zwrot do tez programowych Stronnictwa Narodowego. Osobiście zaś rad jestem, że pan Szerer teraz, po doświadczeniach trzyletnich blisko rządów swych przyjaciół politycznych, zajął to samo stanowisko, które innemi słowami wyraziłem we wspomnianej dyskusji wileńskiej 1924 r. Tym samym torem myśli dążąc, p. Szerer wiąże zagadnienie rządu z zagadnieniem kontroli i stwierdza (str. 41): „im więcej władzy wydziela się rządowi, tem więcej trzeba myśleć o *forum*, przed którym zdawać on będzie sprawę z tej władzy, i o sposobie, w jaki będzie się to odbywać“. Dlatego też p. Szerer żąda przeniesienia ciężaru zagadnienia reformy na kwestję wzmocnienia władzy rządu, a nie prezydenta, choć wie, że to „nie spodoba się oczywiście tym, którzy wyjście z trudności widzą w mniej lub więcej wyraźnej dyktaturze głowy państwa. Ci będą uważali, że przy proponowanych tu zmianach rola prezydenta pozostaje nazbyt nikłą i za mało zawiera w sobie możliwości gestów naczelniczych“ (str. 57). Nawet p. Szerer wypowiada się przeciw dyktaturze, uważając, że „rządy dyktatorskie mogą być dobre, gdy są przemijające, natomiast jako instytucja stała zawodzą“ (str. 60). Wypowiada się więc przeciwko „zasypywaniu u nas źródeł życia parlamentarnego“, uważa, że „osłabianie zainteresowania społeczeństwa polskiego sejmem nie jest bynajmniej pożądane“ (str. 51) oraz, że „usuwanie dziś u nas sejmu byłoby ryzykowaniem rewolucji“ (str. 60) i że „nie jest rzeczą budowniczego konstytucji przygotowywać pokarm dla ducha rewolucji“.

W zestawieniu z projektem B. B. w sprawie rewizji Konstytucji, wydaje się aktualną rada p. Szerera: „pisząc rozdział Konstytucji o władzy prezydenta, zachowajmy chłodne głowy“ (str. 59). I dlatego uważa, że „kostium prezydenta polskiego powinien być robiony na miarę wybitnego Polaka, ale przecież nie pół-boga“ (str. 45).

To są tezy p. Szerera. Zawiera się w nich protest przeciwko drogom, któremi chadza myśl „sanacyjna“, zaprzeczenie słuszności celów i trafności środków polityki tego obozu. Z drugiej strony, pan Szerer mimowolnie potwierdza niejedną tezę, głoszoną przez obóz narodowy.

Gdzież się podziela wiara w dogmaty ruchu majowego? Czasy entuzjazmu mijają...

<sup>1)</sup> Patrz Pamiętnik I (VIII) Zjazd Prawników Polskich w Wilnie 8—10. VI. 1924. Wilno. Dodatek do II t. Rocznika Praw-



## K. H. ROSTWOROWSKIEGO „NIESPODZIANKA“

(PO PREMJerZE W TEATRZE KRAKOWSKIM)

**M**OŻE niezawsze w życiu — ale napewno w stosunku do artystów prawdziwe jest twierdzenie poety: „Kto służy wiernie sobie — drugim służy“... Okazało się to dowodnie na K. H. Rostworowskim. Po latach, w których wiedziony patriotyzmem, pragnął dać bezpośredni wyraz artystyczny swemu poczuciu obowiązków społecznych, pisać próbował dla celów dydaktycznych — Rostworowski, ostrzeżony instynktem samozachowawczym, wraca w siebie, wycofuje się z areny publicznej, przestając działać jako mówca — (choć mówcą jest świetnym) — i oto oglądamy już owoc tego skupienia się: Najnowszy jego utwór p. t. „Niespodzianka“, (wyróżniony pierwszą nagrodą krakowskiego konkursu i wystawiony w Krakowie), okazuje nam znowu twórcę, od którego można było śmiało domagać się dzieł na wysoką miarę. Przyszedł oto pewien wstrząs moralny, sięgnął do samej calizny tego talentu i obudził się rasowy dramaturg o lwich zaiste chwytach, objawił się ten sam człowiek, który kiedyś tak swoiście ujął tragedję Judasza z Karjothu. Najgłębszą motywacją psycho-moralną twórczości Rostworowskiego jest litość: jest on tragikiem ludzi biednych, szarych, słabych, tragikiem małości wplątanej w tryby przemożne i groźne spraw wielkich, albo niedoli, albo losu. Rostworowski powrócił w siebie, we właściwą sobie dziedzinę natchnień i dał nam znowu coś, o czym — pomimo pewnych, jakie się nasunąć mogą wątpliwości — bez wahania powiedzieć godzi się, że to jest wielki teatr.

Gdyby treść „Niespodzianki“ nie była znana jako fakt autentyczny, to może mógłby ktoś do autora mieć urazę, że pozwolił wyobraźni swej na okrucieństwo wprost wyuzdane, że od wytrzymałości moralnej i nerwowej widza wymaga zbyt wiele. Ale skoro dana była przez życie sytuacja niesamowitej grozy i skoro zdarzyło się, że sytuacja ta przeraziwszy artystę, wywołała dzieło sztuki — to już pozostaje nam tylko pytać: Czy autor z grozy tej niczego nie uronił, a także — i to pytanie drugie: Czy zdołał wyjść ponad nagie zdarzenie, czy zdołał nam w sprawie ohydnej, w wypadku kryminalnym potwornie, nietylko niesamowitym, lecz i ordynarnym — ukazać coś, co poruszy w sercu widza inne też, prócz zgrozy i wstrętu, uczucia, uczucia pozytywne, sympatyczne, czy, słowem, zdoła się usprawiedliwić przed widzami z tego, że zaprosił go na widowisko sprawy bezdennie brzydkiej? Pytanie więc o majstra w autorze — oraz pytanie o estetyczny takt — co w tych rzeczach równa się nieomal taktowi etycznemu i rozmiarowi przemysłu.

Zdarzenie prawdziwe, które autorowi „Niespodzianki“ za fabułę posłużyło, odpowiada starej Arystotelesowej recepcie na najlepszą tragedję (w XIV rozdz. „Poetyki“): Szukać należy takich przedewszystkiem akcji, kiedy nie nieprzyjaciel nieprzyjaciela, lub ludzie całkowicie sobie obcy próbują wzajemnie się zniszczyć, ale takich, gdzie czyny straszliwe rozgrywają się między bliskimi, kiedy więc np. „brat zabija brata, albo syn ojca, albo matka syna, albo syn matkę“... I dalej, dobrze jest, kiedy zbrodnia dokonana zostanie bez wiedzy o tem, kto jest jej ofiarą — a potem dopiero

przyjdzie rozpoznanie... I oto, wraca z Ameryki syn; niepoznany przez rodziców, (bo odszedł z domu jako nieletni chłopak, powraca jako dojrzały mężczyzna) — utrzymuje więc *incognito*, pragnąc sprawić im w pewnej chwili radosną niespodziankę; tymczasem rodzice, skuszeni jego zamożnym wyglądem, jego dolarami, z którymi — hojny... — nie krył się, skrytobójczo mordują go i po dokonanej już zbrodni, dzięki temu, że niezajomy podróżny zatrzymał się był w karczmie i przed karczmarzem wyjawił się — dowiadują się — kogo zabili.

Tyle dostarczyła Karolowi Hubertowi Rostworowskiemu rzeczywistość i teraz, skoro widz doznać ma wstrząsu o wartości estetycznej, nie samych tylko przerażeń i wstrętu, należało jakimś sposobem usprawiedliwić byt estetyczny zbrodniarzy, zbliżyć ich widzowi, widza nimi po ludzku zająć. I znowu stało się według klasycznej recepty („Poetyka“ XIII): Zdarzenie tragiczne winno skutecznicić się nie dzięki charakterom gruntownie złym, dzięki bezwzględnemu czyjemuś upadkowi moralnemu, ale z powodu ciężkiej winy osoby o przeciętnym poziomie moralnym, „raczej lepszej, niż gorszej“. Jakże w danym wypadku owych ordynarnych, skrytobójczych zbrodniarzy uczynić ludźmi, którzyby nas mogli zająć sobą, którzyby nie byli okazami zupełnej tępoty moralnej, bestjańskiej bezduszości, jakże ich, słowem — ulegizować? I tu w pomoc przyszła Rostworowskiemu ta jego — litość — zresztą *ultima ratio*, siła napędna jego dzieła. Ale nie owa bezwarunkowa, słabowita, defetywna litość deterministów, w której roztopia się samo pojęcie grzechu: wszak oni sami, ci zbrodniarze z „Niespodzianki“ wiedzą, że cała ta afera skończy się piekłem... Ale owa litość warunkowa, która przed osądem moralnym nie cofa się, która nie sumarycznie zbrodniczość obejmuje, ale która wypadki konkretne badając, kazuistycznie mierzy i moc człowieka i siłę opłotów fatalnych losu jego. Rostworowski nie lituje się nad zbrodniarzem, jako takim, ale nad człowiekiem, kiedy on zbrodniarzem staje się. Dzięki temu — i tylko dzięki temu — pewien niesamowicie szpetny wypadek kryminalny mógł okazać się tragicznym. Należało więc, aby się ten tragizm mógł skutecznicić — dać dostatecznie przekonujący obraz matni losu — i żaden w tym względzie nakład siły ekspresyjnej nie mógł tu okazać się za duży.

Sądzę, że autor „Niespodzianki“ z tego zadania wywiązał się całkowicie: Starzy Szywałowie zaplątani są w wysiłek zacny, ale ponad ich siły; kształcą jednego z synów... przyjdzie jednakowoż chwila, w której dalej synowi pomagać nie będą mogli — on zaś, również na siłach już się nie czuje dźwigać dalej nędzę; pozostaje mu tylko zostać wykolejnicem; rodzice sprzedają krowę jedyną — ale to przecież nie pomoże... W takim momencie krytycznym los podsuwa tajemniczego a bogatego podróżnego, zaczyna się od kradzieży — a kradzież dokonana; która ukryć się nie da, przywołuje myśl ostateczną... „Niespodzianka“ więc tragedją jest, bo charakterzy bohaterów jej nie są całkiem patologiczne, bo autor, w zdarzeniu tem ukazał coś nie zupełnie



przypadkowego: Tłem najgłębszym utworu jest sprawa szersza, o znaczeniu ogólnym: Nędza ludu naszego, niemoc jego, skoro dotknięty bywa tchem wyższych ambicji. I tę nędzę Rostworowski odmalował rysami prostymi, lapidarnymi ale wstrząsającymi do dna. Taka prosta deliberacja „ale krowy nie sprzedam” — tu jawi się w całej swej posępnej prawdzie i śmieją się na widowni, kiedy troje ludzi kładzie się spać do barłogu, z którego słoma się sypie — ale cierpieć na ten widok musi każdy, kto wie, że to jest kawałek tej brudnej, zbyt często rozpaczliwej rzeczywistości polskiej. I dlatego — dlatego, że warunkiem niezbędnym u tragizowania zbrodniczych protagonistów tej sztuki było owo tak dolegliwie ujęte tło — notorycznej nędzy polskiej wsi — dlatego sądzę, utwór Rostworowskiego należy, wbrew własnemu jego, że zrozumiałych intencji płynącym zastrzeżeniom — uznać za sztukę z życia ludu — nie zaś o charakterze wyłącznie abstrakcyjnym, „ogólno — ludzkim”. „Niespodzianka” napewno obejdzie sceny polskie — i stawiam hipotezę: Odczuwanie jej jako tragedji, nie zaś jako utworu kryminalnego, sensacyjnie - naturalistycznego będzie w prostym stosunku do odczuwania tego, iż ten posępny, ciężarny jakimś straszliwymi napięciami skrót perspektywiczny wsi polskiej — jest istotnym składnikiem ideowym utworu.

Nalegam na ten moment; bo w związku z nim przejdę do czegoś, co mi się wydało brakiem. Nastawiony mianowicie od aktu 1-go na to, że mam do czynienia z tragedją nędzy fizycznej i moralnej, ale nędzy konkretnej — chłopca polskiego — odczułem przy końcu brak jakiegoś elementu, któryby środowisku przywrócił jakieś walory dodatnie, uprawnił jakieś *residuum* optymizmu, któryby wskazał, iż poza niedolą, rodzącą gniew, zawiść, rozpacz, zbrodnię, — jest nienadpróchniały moralnie, mocny fundament tego życia, że jest na tej wsi gromada, będąca zrównoważonym, pewnym mścicielem obiektywnej moralności; brakło mi, słowem, jakiegoś elementu, któryby widzowi przywrócił zaufanie do samego stylu tego życia — elementu „chóru”, coby — znowuż według klasycznego kanonu — „sprawiedliwość, prawa i spokój słał przy drzwiach świątyni otwartych...” Bo przecież tym elementem nie może być, z natury rzeczy, karczmarsz Abramek, któremu przypadła rola stróża sprawiedliwości — (co zresztą wydaje się nieuniknione ze względu na bieg akcji) — ani grupa zawodników wiejskich, ani ów bezimienny, niemy tłum, który pod koniec sztuki napełnia izbę zbrodni i zmawia pacierz nad zwłokami...

Czy, ostatecznie, następuje *katharsis*? To znaczy, czy winni ulegają skrusze, ale nadto, czy autor uzdolnił nas do tego, ażeby ta skrusza mogła być przez nas wzięta na serio, abyśmy mogli im w tym względzie zaufać — tak, ażebyśmy z teatru wyszli z pewną ulgą, z pewnym uwzniośleniem nastroju, stąd płynącym, że nasz instykt moralny otrzymał pewne zadośćuczynienie, wyzwalające choćby częściowo z tej depresji, jakiej ulegliśmy śledząc koleje zbrodni? Na ten ważny moment katartyczny, tak silnie przez autora podkreślony, jakim jest tragedia nędzy, wróciłem już szczególną uwagę; momentem takim i ten jest, że, jak wspominałem już, zbrodnia zaczęła się właściwie od przestępstwa niewinniejszego, od próby kradzieży trudnej do ukrycia: fatalizm przestępstwa nieodwracalnego... Punktem katartycznym jest chwila,

kiedy matka, po rozpoznaniu przeraźliwym, drze zrabowane dolary, cały majątek „oddaje” nieszczęsnemu... kiedy ojciec — choć on tylko kusił — całą winę na siebie bierze i każe „wołać policyją...” Ale jest wątpliwość, czy ludzie ci odczuwają wyrzut sumienia, krwawy niesmak, z powodu, że człowiek a zabili — z nim się dowiedzą, że to syn?... Czy zatem rozpacz ich po potwornym rozpoznaniu nie jest momentem, wprawdzie zbliżającym ich do nas przez naszą litość — ale zarazem oddalającym ich, przez dopiero co wyrażoną refleksję?... Nie jestem pewien, czy tu nie byłby był wskazany jakiś retusz. Jakkolwiekby, ci ludzie wiedzą, że grzech wielki popełnili. Wszak jesteśmy w surowej atmosferze świata, gdzie namiętności przelewają się falami często straszliwymi, ale gdzie miary dobra i zła nie rozmiękły jeszcze w klimywnym zaduchu deterministycznego wszechprzebaczania.

Co do majsterstwa dramatycznego „Niespodzianki”, to przyznać należy, że autor niczego zaprawdę ze zgrozy zdarzenia prawdziwego nie uрониł... Sztuki od początku do końca słucha się dosłownie z zapartym tchem; napięcie rośnie powoli, ale stale, aż do wyżyny dolegliwego bólu. Ale istotą wzruszenia teatralnego jest to, aby obok napięć uczuciowo-nastrojowych i intelekt miał dostateczną rozrywkę, co nas od dolegliwości owych napięć częściowo wyzwala. I w tym kierunku autor doskonale z zadania się wywiązał: Tak np. sofistyka pokusy w akcie 2-im, to powolne narastanie podziemne myśli strasznej, te jej przewalanie się coraz wyraźniejsze popod powierzchnią rozmowy pozornie niewinnej, to wreszcie ostateczne wyklucie się zamiaru zbrodniczego na światło dzienne obopólnej świadomości — cały ten proces nie tylko grozą trwożnego oczekiwania napina niebywale silnie, lecz też ogromnie ciekawy jest dialektycznie i psychologicznie. Cennych ujęć tego rodzaju jest więcej. Co do samej psychologii, jak np. subtelna jest koncepcja żyda Abramka: Ten człowiek śledzi tajemnicze zniknięcie przybysza, całkiem bezinteresownie, poruszany ciekawością, litością — ale całą ważność ta sprawa zyskuje u niego dzięki temu, że on odczuwa głęboko niesamowitą wagę dolara... „Ja tu byłem, on tu był, dolar tu był”... Zresztą żydzi wcale nie mogą być niezadowoleni z tego żyda w utworze polskiego narodowca i prawowiernego katolika... Nieomylną jest też u Rostworowskiego znajomość języka wiejskich ludzi, trafnie oddany język wsi już powojenny.

W teatrze krakowskim starannie, z przemyśleniem i z siłą odegrano utwór. Jak ekspansywne np. było rozplanowanie zamilczeń, głębokich, ciężarnych rzeczami straszliwymi; jak silnie przypominało się Maeterlinckowskie milczenie lub Norwidowe słowa o tej „ciszy zbrodniczo-niewinnej, co po skroniach widzów łaskoce lub wnika na dno serc — razem ze krwią wybiega do góry, gra kroplami po żyłach...” A co do Sosnowskiego w roli ojca — ten dał kreację pamiętną już, monumentalną. W całym głosie, w każdym geście, w każdym milczeniu to był człowiek dorównany: pewien chłop polski, prosto z życia, twardy, podstępny, zdeterminowany na wszystko, ale bynajmniej nie patologiczny, bardzo męski. Tak więc, mieliśmy znowu to, na brak czego tak często, wychodząc z widowisk produkcji najnowszej, uskarżamy się: Mieliśmy wielki teatr.



## LIBERUM VETO

(Kościuszko w porównaniu).

**M**ARSZAŁEK senatu, chcąc ozdobić wspomnieniem historycznym swój wybuch czolobitności, na posiedzeniu komisji wojskowej wykrzyknął: „Pradziadowie nasi powstawali, gdy na salę wszedł Kościuszko“.

Zajmowałem się ściśle tym najgodniejszym czci i najukochańszym bohaterem dziejów Polski i nie wiem, ażeby „pradziadowie nasi powstawali, gdy on wszedł na salę“. Nie wiadomo również nikomu, ażeby Kościuszko ukazał się kiedykolwiek w sali sejmowej. Dopóki p. marszałek nie pouczy mnie i nie mnie przekonywającym dowodem, pozostanę w przypuszczeniu, że ową scenę „powstawania“ sfantazjował na użytek swego kultu i że ani działań Kościuszki nie zna, ani jego charakteru nie rozumie. Dlatego pozwolę sobie na kilka przypomnień historycznych, które są potrzebne nie tylko do przekłucia frazeologicznej bańki mydlanej, ale niedopuszczenia, ażeby lekkomyślnem lub bałwochwalczem porównywaniem zmniejszono wielkość jedynego bohatera, obok którego nikt stawać nie ma dotąd prawa. Jest to bowiem dogmatem historii polskiej, że Kościuszko jest w niej jedynym.

Polska niepodległa chorowała nie na ubóstwo materialne, nie na brak rozumów lub poświęceń wyjątkowych, ale na zanik cnót obywatelskich. Warstwy rządzące lub wpływowe były zbiorowiskiem cynizmów żarłocznych, nienasyconych, pochłaniających z dobra publicznego tyle, ile zrabować zdołały, a więcej, niż zużyć mogły. Przez dwa wieki trwała nieprzerwana i zaciekle grabież, której nieliczne jednostki przypatrywały się ze zgrozą i smutkiem, ale bez siły powstrzymania rozpadu moralnego. Chciwość i bezprawie kopały ojczyźnie ten grób, w który ją łatwo wtrącili wrogowie zewnętrzni przy pomocy wewnętrznych. Zwłaszcza po górnych pokładach społeczeństwa rozszerzyła się straszna zaraza moralna, która wyniszczyła w nich wszystkie uczucia szlachetne, pozostawiając tylko żądze samolubstwa. Nawet lepsi ludzie tak oswoili się z wiarołomstwem, łupieżstwem, gwałtem, zbrodnią i wszelkimi odmianami hańby, jak z dokuczliwościami surowego klimatu. Podczas gdy jedni upadali się, inni obojętnieli na podłość. Śród tej orgii egoizmów zjawiał się opiekuńczy i zbawczy duch Polski, który jak płomień miał spalić w narodzie złe żądze a zarazem oświecić ma drogę ratunku. Olśnił on rodaków blaskiem swej szlachetności, ale nie zdołał odrazu ich przetworzyć. Z przymkniętymi na ten blask oczami szli dalej po manowcach swoich nałogów. Gdy obdarzony zaufaniem i otoczony czcią całego narodu, wezwał go do walki już nie tylko o wolność, ale o zmycie krwią ofiarną sromotnej plamy poddania się bez oporu zakuciu w kajdany najeźdźcom, gdy zdołał zachęcić do tej walki nawet niezamożny lud wiejski, szlachta skarżyła się, że odciąga jej z gospodarstwa siły robocze i tajemnymi namowami skłaniała chłopów do ucieczki z wojska. Kościuszko padł w nierównym boju, orężem nie wyzwolił Polski, późniejszymi staraniami losu jej nie złagodził, ale w swoich zamiarach, dążeniach, słowach i czynach pozostawił potomnym testament jako ewangelję patriotyzmu. Nie zwyciężył—mówił jego duch—samym, nawet najmocniejszym orężem, zwyciężył tylko doskonałością dusz waszych, czystością uczuć, bezinteresownością celów, szczerą miłością ojczyzny i gotowością do ofiar. Niech Polska nie będzie dla was przedmiotem łupieżstwa i wyzysku,

niewolnicą samozwańczej władzy, karmicielką samolubstwa, ale matką, którą kochacie nawet wtedy, kiedy ona jest nieszczęśliwa i chora.

W obecnym stanie naszego życia można wywoływać z grobu wszystkie duchy samolubne, wicherzyielskie, wojujące gwałtem i bezprawiem, ale nigdy ducha Kościuszki. Gdyby on zmartwychwstał i zobaczył naszą „rzeczywistą rzeczywistość“, nieco podobną do tej, którą widział za życia, rozplakałby się, zabrałby swoje serce z urny warszawskiej i uciekł z niem do grobowca krakowskiego. Bo czyż rozpromieniłoby się radością jego zacne oblicze, gdyby ujrzął pijanych wszechwładzą „sanatorów“, lub rozszalałych w samowoli terrorystów, łamiących prawa z dzikim śmiechem, urągających moralności i plujących bluźnierstwami na cały kanon patriotyzmu? Czy ucieszyłoby się widokiem pogromców, okrwawionych w walkach bratobójczych, on, na którego rękach nie zakrzepła ani jedna kropla krwi polskiej? Coby o nas powiedział on, który nigdy nie wybuchał nienawiścią, złością i zemstą, ale wylewał ze swego serca niewyczerpane potoki miłości, ukochania narodu, do którego jedynie adresował sprawozdania ze swych czynów i zamiarów? Przypomnijmy sobie, co napisał z obozu pod Gołkowem, do Rady Najwyższej, dowiedziawszy się o powieszeniu przez wzbурzony lud w Warszawie kilku zdrajców, do których dołączono ludzi niewinnych: „Dopełniając tego, czego sprawiedliwość publiczna wyciąga, zakazuję jak najsurowiej Ludowi dla dobra i zbawienia jego, wszelkich odtąd nieporządných rozruchów, gwałcenia więzień, imania osób i karania ich śmiercią. Kto nie idzie do Rządu drogą należytą, jest buntownikiem, burzycielem spokojowości publicznej i jako taki karany być powinien.“ Krótko mówiąc: Kościuszko nie pozwalał łamać prawa nawet w stosunku do zdrajców.

Kiedy Prusacy zostali odparci od Warszawy, Najwyższa Rada Narodowa powinszowała Kościuszce „tak znakomitego dzieła, iż starannością i walecznością swoją ukrocił dumę i siłę tego nieprzyjaciela, który, z taką nastawając groźbą, z hańbą chciwych zamiarów swoich odstąpić musiał“. Chcąc zaś ten wypadek uczcić jakąś uroczystością, Rada zapytuje Kościuszkę, jakiego sobie życzy obchodu i prosi, ażeby w nim wziął udział. Oto odpowiedź prawdziwie wielkiego człowieka: „Z najwyższą wdzięcznością i uznaniem odbieram pochlebne dla mnie wyrazy Najwyższej Rady Narodowej. Cieszę się zarówno z każdym dobrym obywatelem z oswobodzenia stolicy od wojsk nieprzyjacielskich, nie przypisuję tego tylko Opatrzności, męstwu żołnierza polskiego, obywatelów warszawskich gorliwości i odwadze, staraniom rządu. Zostawuję zupełnie do woli Najwyższej Rady Narodowej, w jaki sposób i kiedy zdarzenie to obchodzić życzy. Zatrudnienia moje nie pozwalają mi ukontentowania być z wami, godni mężowie; śmiem ufać, że ten Bóg, który stolicę uwolnił, uwolni i Ojczyznę; wtenczas już jak obywatel, nie jak urzędnik i Bogu dzięki składać i powszechną ze wszystkimi radość dzielić będę“.

Wiec nie on, tylko Bóg, żołnierze i obywatele odparli wroga, dlatego on żadnego hołdu, żadnego obchodu na swoją cześć nie przyjmuje. Słusznie też mówi najszczerogłowszy jego biograf—Korzon: „Między wojownikami skromniejszego nie zna podobno historia powszechna, bo który z nich oparł się pokusie peanów, kadzideł, łuków triumfalnych i widoku rozradowanych tłumów? On zaś w razie pomyślnego zakończenia wojny nie chciał zasiąść z gałązką oliwną na rydwanie triumfatora, lecz bez oznak wodza,



w szatach prywatnego człowieka, może w chłopskiej sukmanie krakusa zmieszalby się z ludem przy modłach dziękczynnych". W jednym z listów Kościuszki, pisanych podczas oblężenia do prezydenty Warszawy, znajduje się takie wyrażenie: „Kochany Zakrzewski, powiedz mnie szczerze: słyszałem, że obywatele nie chcą iść do księcia (J. Poniatowskiego); jeżeli to prawda, oddalę go, gdyż Ojczyznę nad wszystko przekładam“.

Gdy p. marszałek Szymański to wszystko sobie przypomni lub po raz pierwszy o tem się dowie, to może nie będzie miał ochoty i odwagi do porównywania Kościuszki z kimkolwiek i zaimprovizowania faktu, że „nasi pradziadowie powstawali przy jego wejściu do sali“, do której on nigdy nie wszedł i nikt przed nim nie powstawał. Zapewne dzisiejszym potomkom tych urojonych pradziadów najbardziej podobałby się cesarz rzymski Kaligula, który dla utrzymania się w samowładztwie schlebiał wojsku, ogłosił siebie bogiem a swego konia mianował konsulem, ale poco w ramy tego gustu oprawiać wielką, skromną, czystą, czcigodną postać Kościuszki? Trzeba go zostawić w spokoju i uwielbieniu całej Polski bez porównywania, skoro ono nikogo przy nim nie powiększy a każdego zmniejszy.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

## G Ł O S Y

### WIATR OD ŁOŻY

„**A** *ANNUAIRE de la Maçonnerie Universelle*“ za rok 1928 podaje następujące szczegóły o „Wielkiej Łoży Polski“. Uderza przedewszystkiem data jej założenia: 1-go sierpnia 1920—*ausgerechnet*, jak mówią Niemcy, w momencie, kiedy bolszewicy szli na Warszawę — „Wielka Łoża“ w ten sposób jechała symbolicznie w ich bagażach. „Wielka Łoża“ posiada wedle wykazu—11 łóż symbolicznych: z tego 8 w stolicy („Kopernik“ — czy w pałacu Staszica?; „Prawda“; „Machnicki“; „Wolność Przywrócona“; „Sowiński“ — zapewne wojskowa; „Wiernych Przyjaciół“ i „Prawo Ludu“ — radykalno-socjalistyczna?) W Łodzi kwitnie łoża „imienia Gabryela Narutowicza“, w Sosnowcu — „Staszica“, w Wilnie — „Tomasza Zana“. Ze Lwowa i Krakowa nie są żadne łoża wymienione—czyżby tam wystarczał tylko „*B'nai Brith*“, który dawniej, przed i podczas wojny funkcjonował na ulicy Wielopole?

„Skrzynką do listów“ „Polskiej Wielkiej Łoży“ (*adresse pour la correspondance avec l'étranger*) jest niejaki p. Kunke, zamieszkały przy ul. Śniadeckich 9, m. 6. Prosi on wszakże, ażeby listy kierowano do niego w podwójnych kopertach bez podania nadawcy — ostrożność podyktowana zapewne względem na czujnie tropiące konspiratorów ministerstwo p. Miedzińskiego!

„Suwerenem — Wielkim Komandorem“ Naczelnej Wielkiej Rady jest po dawnemu zacny senator Strug, wyglądający istotnie jak posąg Komandora albo jak Felsenburg z „Mistrza Ziemi“ Bensona. „Wielkim Kanclerzem“ jest Stanisław Stępowski; spadkobierca wpływów dawnej pieczęci, którą niegdyś piastowały w Polsce inne ręce, Zamoyskich i Żółkiewskich, gnieździ się przy ulicy Siennej 20. Temu „Wielkiemu Mistrzowi“ sekretarzują: Zygmunt Dworzeńczyk (Nowowiejska 46/47) i sekretarz od korespondencji zagranicznych, Zbigniew Skokowski (Smolna 23).

2) A oto telegramik, który — jak donosi organ „kata na masonerję“, p. Mackiewicz, „Słowo“ wileńskie z 24 z. m.,—poszedł w wigilję tego dnia z okazji 70-ej rocznicy urodzin p. Teodora Rodiczewa, b. posła do Dumy, na jego ręce z Warszawy:

„Wiernemu szermierzowi sprawy polskiej, bojownikowi wolności i sprawiedliwości hołd składają przyjaciele Polacy — Jan Baudouin de Courtenay, Aleksander Babiański, Jan Dąbrowski, Ludwik Darowski, Józef Evert, Stefan Grostern, Hipolit Gliwic, Aleksander Lednicki, Wacław Lednicki, Stanisław Posner, Leon Petrażycki, Adolf Suligowski, Stanisław Thugutt, Tadeusz Zieliński“.

3) p. Lednicki—ojciec nie ogranicza się wszakże do „*panachidyj*“ ku czci p. Rodiczewa. Jak donoszą „*Poslednija Nowosti*“, należał on również do komitetu warszawskiego obchodu 70-ej rocznicy urodzin Miliukowa, która przypadła 3-go marca.

4) W sobotę, 2-go marca, odbył się w lektorjum imienia Piotra Royzyusza w uniwersytecie Jagiellońskim odczyt dra Klary Schoedon, prezski niemieckiej „Ligi kobiet dla pokoju i wolności“ z Bytomia, urządzony staraniem Akademickiego Związku Pacyfistów. Wśród innych wywodów bardziej zwyczajnych, jak np. że „wszelka potęga religijna ogranicza wolność myślenia“, uderzała zapowiedź mającego się odbyć w najbliższym czasie w Berlinie wielkiego kongresu anty-faszystowskiego pod przewodnictwem Henryka Barbusse.

5) Co się wreszcie tyczy pacyfistów niemieckich, „Epoka“ z 20 z. m. podaje charakterystyczny skład nowego zarządu Niemieckiej „Ligi Obrony Praw Człowieka“. Do Zarządu jej weszli m. in. Oskar Cohn, Otto Lehmann i dr. Walter Lewinthal. Do politycznej rady doradczej wybrano m. in. prof. Alberta Einsteina i literata Arnolda Zweiga.

K. M. M.

### PO DYMISJI MIN. CZECHOWICZA

**S**Ą w dzisiejszym życiu politycznym Polski czynniki — wpływowe zarówno w obozie „sanacyjnym“ jak na lewicy — którym zależy najwyraźniej, ażeby nie doprowadzać do ostatecznej rozgrywki pomiędzy demokracją parlamentarną a dyktaturą, nie podpalać złotych mostów porozumień pomiędzy „liberalizmem“ policyjno-wojskowym i antynacjonalistycznym „faszyzmem“... Są czynniki, które mając jedyne wroga rzeczywistego — Polskę narodową, w walce z nią wyzyskiwać postanowili równocześnie arystokratyczno-samowładcze tęsknoty jednych i radykalno-demokratyczny doktryneryzm drugich, a wobec tego zmuszeni są organizować w sposób umiejętny, zarówno ich konflikty jawne, jak skryte współdziałanie. Są to napozór niewinni, spokojni widzowie, z głębi łóż przyglądający się zmaganiom na arenie, gracze ostrożni, stawiający na obu zapaśników jednocześnie. Zlekceważenie jednakże roli oraz potęgi tych czynników byłoby równoznaczne z niezrozumieniem najistotniejszego sensu tudzież związku politycznych wydarzeń doby dzisiejszej. Dzięki nim, dzięki właśnie owym widzom, siedzącym w łożach, przedstawienie może wogóle dochodzić do skutku. Oni płacą...

Dymisja ministra skarbu Czechowicza oraz jej przyjęcie — to niewątpliwie poważny bardzo sukces tych czynników, które do rozgrywki między obozem „sanacyjnym“ a lewicą nie chcą w chwili obecnej dopuścić. Konsekwentna polityka Klubu Narodowego w sejmie przymusiła wprawdzie ugrupowania lewicy do ostrego postawienia sprawy t. zw. kredytów dodatkowych, atoli zręczni taktycy lewicowi postanowili raczej wejść na



drogę odpowiedzialności karnej formalnego winowajcy, ministra skarbu, przed Trybunałem Stanu, aniżeli odpowiedzialności politycznej — całego rządu. Było to i efektowniejsze znacznie i... mniej groźne. Z chwilą zaś, kiedy p. Czechowicz uzyskał dymisję, cała sprawa istnieć zaczęła już niejako niezależnie od sprawy rządu, a może ona toczyć się dłużej albo krócej, stosownie do potrzeby...

Grę powyższą popsuł wszakże sam b. minister Czechowicz, który w momencie rozgoryczenia oświadczył na komisji sejmowej (dn. 8 b. m.): „Nie mogę jednak zamykać oczu na to, że... jako minister skarbu miałem drogę do sejmu zamkniętą... Osiągnięcie wyższego celu mego życia zawdzięczam wyłącznie i jedynie marsz. Piłsudskiemu. Jakże mogliście żądać odemnie, żebym wystąpił wobec niego z *votum* nieufności, gdy wam, moim oskarżycielom, sumienie nie pozwoliło tego uczynić“.

Nazbyt górne i nazbyt pompatyczne stanowczo jest w tym wypadku wyrażenie: „sumienie“. Język polski posiada wyrazy bez porównania ściślej określające rzeczywiste motywy, które „opozycyjną“ lewicę skłaniają do unikania jasnego postawienia kwestji odpowiedzialności obecnego ministra spraw wojskowych... W każdym razie jednakże p. Czechowicz zdecydował się na krok bardzo ważny: zręczną sztuczkę, którą mieli zauważyć tylko nieliczni, uprzywilejowani widzowie z kilku łóż, najbliższych areny, uczynił widoczną nawet dla najwyższych pięter galerji.

Położenie staje się kłopotliwe.

IGN.

## Z POLITYKI ZAGRANICZNEJ

P. STRESEMANN W ROLI FILIPA

**P**RZEBIEG i wyniki sprawy „mniejszości“ na marcowym posiedzeniu Rady Ligi Narodów znane są z prasy codziennej. P. Stresemann znalazł się w Genewie w warunkach dla siebie niesprzyjających, wielkie mocarstwa zachodnie z oczywistą niechęcią widzą wysuwanie przez Niemcy nowego zagadnienia, o którym wiedzą, że może odegrać rolę naboju dynamitowego, podłożonego pod układ europejski, oparty na traktatach z r. 1919. Mimo to osiągnął p. Stresemann odesłanie swego wniosku do „komitetu trzech“, który wyniki swej pracy przedstawi Radzie Ligi, zasiadającej w charakterze komisji; wnioski, w tych instancjach opracowane, będą wniesione na czerwcowe zebranie Rady. Załatwiono rzecz, jak zwykle w Genewie, kompromisowo; kierownik polityki niemieckiej liczy z pewnością na to, że metoda kompromisu stosowana będzie w dalszym ciągu i że dzięki temu sprawa mniejszości na terenie Ligi stanie się w jego ręku dogodnym narzędziem do niszczenia traktatu wersalskiego.

W Genewie nic nie zostało załatwione, trudności dopiero się rozpoczynają. Zmiany zaś w rządach Anglii i Francji, oraz ewakuacja Nadrenji mogą wytworzyć dla akcji p. Stresemanna grunt o wiele podatniejszy.

Polityka polska może tylko wówczas wydać pomyslny rezultat, jeśli nie będzie się ograniczała do zajmowania stanowiska wobec posunięć niemieckich i do obrony zagrożonych punktów, lecz jeżeli planowi polityki niemieckiej, zmierzającej do spowodowania rozbioru Polski, i systemowi niemieckiemu przeciwstawi plan własny i system oparty na fakcie, iż dążenia rozbiorowe Niemiec stanowią główne i najbliższe niebezpieczeństwo dla Polski. W tym planie sprawa mniejszości jest li tylko szczegółem i nabiera wagi dopiero jako niezbędne ogniwo w całokształcie polityki niemieckiej.

Można do sytuacji naszej zastosować ostrzeżenie, jakie skierował pod adresem ludu ateńskiego Demostenes w pierwszej mowie przeciw Filipowi: „...niegodnym jest tego niezdołać zrozumieć, że do należytego prowadzenia wojny potrzeba wyprzedzać wypadki, a nie za nimi nadążać; jak wymaga się od wodza, aby przodował armji, w ten sam sposób powinno zgromadzenie wyprzedzać wypadki, aby jego uchwały zamieniano w czyn, a nie by musiało się nimi doganiać zdarzenia. Wy, Ateńczycy... w wojnie z Filipem w niczem nie różnicie się od dzikich zapaśników; uderzony bowiem dziki zapaśnik zawsze trzyma się za ugodzoną część ciała, trafisz go z drugiej strony, on tam z rękami; nie może, ani nie chce zastąpić się i patrzeć na przeciwnika. I wy na wieść, że Filip na Chersonesie, uchwalacie pomoc tam, że w Pylach, to tam, że gdzieindziej... Biegacie tam i napowrót za nim i on wami komenderuje; nie macie żadnego korzystnego planu wojny, nie przewidujecie niczego przed wypadkiem, ale czekacie, aż dowiecie się o nim, albo podczas niego. Może przedtem to uchodziło; teraz, w momencie krytycznym, niepodobna tak dalej“...<sup>1)</sup>

Drugą już sprawę usiłuje wygrać p. Stresemann przeciw całości Polski — na terenie Ligi Narodów — po Litwie mniejszości! I dotychczas inicjatywa jest po stronie polityki niemieckiej. Jak Filip Ateńczykami, tak p. Stresemann komenderuje nami.

S. K.

## WYCHOWANIE NARODOWE

SZKOŁA SOWIECKA I JEJ ZADANIA WYCHOWAWCZE

**R**EFORMA szkolnictwa—to jedna z elementarnych potrzeb doby powojennej. Zmiana socjalnych i politycznych układów wywołała konieczność nowego typu wychowania.

W rosyjskich próbach pedagogicznych odbijają się znamienne prądy i dążenia ścierają się sądy i opinie związane z poglądem na świat reformatorów.

Na dwóch przeciwnych krańcach znalazły się dzisiaj szkoły: włoska i sowiecka. Pierwsza, zreformowana przez Gentilego, wyrosła z idealizmu filozoficznego, za podstawę wychowawczą ma wiedzę o kulturze ludzkiej i jej duchowych wartościach.

Druga, oparta na materialistycznej koncepcji życia, zwraca się ku przyrodzie, z biologicznych procesów usiłuje wyprowadzić zasady społecznego współżycia i zasady wychowania. Wobec dziesięciolecia szkoły sowieckiej, zwolennicy jej w kraju i przeciwnicy na emigracji starają się uchwycić jej linję rozwojową od wybuchu rewolucji po dni nasze. Rzecz dziwna. W opinjach dwóch wrogich obozów uderza zgodność konstataowanych braków i niedomagań. Tylko wyświechtanie przyczyn jest odmienne. Zarówno organ sowiecki<sup>2)</sup> jak i pismo pedagogiczne, wydawane w Pradze<sup>3)</sup>, odwołują się do programów i ukazów rządowych, do teorii i praktyki szkolnej, ubolewając nad dołą nauczyciela i ucznia.

Odpowiedzialny za bieg życia szkolnego w Rosji, kom. Łunaczarskij wyznaje, że rząd sowiecki wciąż jeszcze wyciąga z bogactw naturalnych kraju znacznie mniej środków materialnych niż rząd caratu. Na ucznia wydaje się obecnie około 50% przedwojennej normy, takież odsetek obniża płacę nauczyciela. Znamienne jest to, że

<sup>1)</sup> Cytujemy z „Wyboru mów“ opracowanych dla Biblioteki Narodowej przez Jerzego Kowalskiego.

<sup>2)</sup> „Narodnoje Proswieszczenje. Narkompros. Gosudarstwiennoje izdatielstwo“. 1928, lipiec, Nr. 7.

<sup>3)</sup> „Russkaja szkoła za rubieżom“. Praga, 1827/28.



Łunaczarskij skwapliwie zapewnia słuchacza i czytelnika, iż nikt tu nie popełnia nadużycia, nikt nie jest temu winien...

Pierwszą fazę rozwoju szkoły sowieckiej określa prof. Gessen i Nowożyłow jako anarchiczno-komunistyczną. Dominuje w niej zasada politechnicznego wykształcenia, ze szczególnym naciskiem na zajęcia praktyczne, na pracę fizyczną.

Druga w pewnym stopniu przewycięża system poprzedni. Ideał pracy fizycznej stłumiony zostaje przez potrzebę stworzenia inteligencji komunistycznej. Inteligencja ta ma służyć aktualnym interesom państwa. Dlatego rząd normuje liczbę kształcącej się w wyższych zakładach młodzieży, wprowadzając na wszystkich fakultetach *numerus clausus*.

Współczesny ustrój szkolnictwa w Rosji nie prowadzi do jedności szkoły. Przejście z jednej do drugiej jest przywilejem partyjnym.

Wykwalifikowanych, uświadomionych politycznie robotników ma dostarczyć państwu szkoła początkowa 4-o letnia, techników specjalistów — szkoła 7-o letnia, dająca dostęp do średniej szkoły zawodowej, organizatorów o wyższej kwalifikacji—9-cio letnia szkoła średnia, prowadząca na uniwersytet.

Uniwersytet, jako główne zadanie, ma organizację gospodarstwa krajowego. Dlatego rozbity został na fakultety, odpowiadające aktualnym potrzebom państwa. Dla dochodzeń naukowych stworzono specjalne instytuty badań.

Na całej organizacji szkolnictwa sowieckiego ciąży pogląd, że szkoła nie ma własnego wewnętrznego prawodawstwa, lecz jest narzędziem propagandy komunistycznej. Nie uznaje się w zasadzie dydaktyki poszczególnych przedmiotów, choć w praktyce w ostatnim dwuleciu system podziału materiału naukowego na osobne gałęzie wiedzy przemycia się, a nawet oficjalnie z pewnemi zastrzeżeniami zatwierdza.

Trzy grupy zagadnień ustala program jako podstawę nauczania: praca, przyroda, społeczeństwo. Usunięcie z nauczania szkolnego: łaciny, języków nowożytnych, historii literatury w ostatnich zarządzeniach zostało odwołane ze względu na potrzeby życia.

Nie zmienia się jednak stosunek władz sowieckich do nauki szkolnej, która ma uzależnić się całkowicie od ideowych postulatów komunizmu.

Trudności techniczne w przyswajaniu sobie przez ucznia wiadomości, potrzeby jego wieku uwzględnia szkoła sowiecka przygodnie. Tak więc przy rozpatrywaniu kompleksu „Lenin” mówi się z okazji życiorysu wodza rewolucji o stosunkach geograficznych i gospodarczych gubernji sycybskiej, przerzucając się następnie do Szwajcarii, w której Lenin przebywał jako emigrant, zaznajamiając się młodzież z tym krajem i z jego organizacją pracy.

Przy nauce języków obcych dobiera się materiał nie ze względu na strukturę danego języka, ale w zależności od treści politycznej tekstu.

Ustępując w praktyce szkolnej z pierwotnego stanowiska dydaktycznego, szkoła sowiecka nie zmienia swoich tendencji i zasad, ustępstwa swe ograniczając do *minimum*. Podstawą nauczania jest nauka o przyrodzie, przedmiot—według słów kom. Łunaczarskiego—najsukuczniejszej podkopujący twierdże wstecznicstwa: religje i Kościoły. Przyroda stanowi więc główne narzędzie propagandy.

Jeśli chodzi o świat ludzki, o życie zbiorowe, Łunaczarskij maluje przyszłą idyllę, państwo socjalistyczne, w którym nie będzie różnic klasowych ani ucisku ekonomicznego. W przyszłości człowiek dojdzie do harmonijnego rozwoju sił przyrodzonych, zjednoczy się ze

społeczeństwem. Ale to sprawa dalekiego jutra. Współczesność inne stawia wymagania. Żąda ona czujności, krytycyzmu i bojowej postawy wobec życia. Dlatego szkoła musi wychowywać młodzież w duchu nienawiści. Łunaczarskij nie waha się powiedzieć, że nawet szczerzy socjalista, jeśli pojmuje socjalizm jako pojednanie skłóconych klas narodu, nie może uczyć młodzieży. Na okres walki potrzebni są bojownicy. Dzieci rewolucji powinny dokładnie znać nietylko jej szlachetne tendencje i jej martyrologję, ale także jej narzędzia walki. Należy wtajemniczać młodzież we wszystkie miazmaty przeszłości, nie kryć przed nią ani metod ani środków rewolucyjnego działania, zagrzewać do akcji w ojczyźnie i poza nią, dla osiągnięcia idealnego współżycia ludzi. Stałą funkcją szkoły, obowiązującym niejako przedmiotem ma być czytanie dzieciom gazet lub opowiadanie im według relacji prasy urzędowej o wszystkim, co dotyczy walk rewolucyjnych w kraju i za granicą. Z gazet i z pogadank codziennych ma się uczeń dowiedzieć, że wszystko, co się dzieje w Sowietach jest słuszne i dobre; nawet to, co napozór zdaje się identyczne z odnośnemi pracami, dokonywanemi gdzieindziej, w istocie jest zgoła od tamtych różne. „Mamy — pisze Łunaczarskij — i służbę wojskową i przysposobienie wojskowe, ale one noszą inny charakter: tam służą uciskowi, u nas — walce o wolność. Nasza armata, taka sama grzeszna armata, jak każda inna, i w dobie socjalizmu my ją zniszczymy, ale obecnie ma ona inne zgoła z n a c z e n i e s o c j a l n e” Słowa te wypowiada człowiek, zwalczający wszelki mistycyzm w nauczaniu przyrody, który religję poczytuje za przesąd, niegodny współczesnego człowieka. A przecież słowa te właśnie są parodią, nieuświadomioną parodią mistycyzmu, są nadto odgłosem rosyjskiego mesjanizmu, ale jakże śmiesznym i nieporadnym!

Szkoła sowiecka dąży do odebrania dzieci rodzinie, by zrobić z nich nowych ludzi. Jeśli tego nie czyni, to jedynie dla braku środków. Łunaczarskij z trudności materialnych wyprowadza wady i błędy współczesnego szkolnictwa. Radby usunąć starsze społeczeństwo w jego ogromnej większości od wpływu na dziecko. Działaniu rodziny przeciwstawiłyby się laboratorja państwowe, tępiące w dzieciach zarodki zakorzenionej przez dziedziczność wiary, uczące krytycyzmu względem wszystkiego, co nie mieści się w programie sowieckim, nienawiści i bezwzględności wobec przeciwników. Ponad tem pogotowiem rewolucyjnym, w jakie ma się przekształcić szkoła według idei bolszewickiej, rozbrzmiewać ma hasło wielkiej misji dziejowej Sowietów, a w oddali, jako misja sama błyszczeć, przyszłość idealna, w której nie będzie już żadnych problemów socjalnych, ani nawet możliwości walki. Okropności dnia dzisiejszego, uświęconej przez polityków szkolnych, towarzyszy więc jako usprawiedliwienie i cel walki rewolucyjnej obłędna, jak światło moczarów, — złuda przyszłości.

ZOFJA SZMYDTOWA

## NAUKA I LITERATURA

SEN O SŁOWACKIM

U TWÓR Juljana Wołoszynowskiego<sup>1)</sup> tak wiele otwiera możliwości dla krytyki, z tak rozmaitych stron może być rozpatrywany, że zmusza też odrazu—do ograniczenia się. Postuszny temu nakazowi zacieśniam przedmiot moich rozważań do walorów artystycznych dzieła.

Widziałem jeden z fragmentów „Słowackiego” w rękopisie. Duże kancelaryjne arkusze glansowanego

<sup>1)</sup> „Słowacki”. Powieść. Poznań 1929. Wydawn. Polskie.



papieru, zapisane pismem równym, w którym, — niech mi grafolodzy wybaczą zuchwałość dyletanta — jest coś jednocześnie biurokratycznego, prawie szkolarskiego, wytwornego i fantastycznego. Wszystko trąci myszką...

Litery krótkie, przegląda w nich jakby rysunek rosyjski: pewna potoczna owalność pisma z niechęcią do wycieczek powyżej i poniżej wiersza. Pismo ogromnie „prawidłowe“, w dokładnościach swych zakochane. I z poza tej prawidłowości — wзира coś przyzajonego, coś księżycowego. Wyziera — to nie znaczy „przebija się“ („niespodziewanie“, „nagle“, „rozpaczenie“...) — przeciwnie księżycowość, wytworność i skrupulatność — są tu w najsilniejszym aljansie, warunkują się wzajem. Jeśli pozwoliłem sobie na ten krótki grafologiczny sen o Wołoszynowskim — to dlatego, że wyjaśnia mi on w dużej mierze sen Wołoszynowskiego o Słowackim.

Te same trzy momenty, które tak charakterystyczne piętno wyciskają na jego piśmie, odnajduję w stylu i wyobraźni artystycznej autora „Słowackiego“. Przedewszystkiem wytworność.

Ona to otworzyła np. Wołoszynowskiemu drogę do tak świetnego odmalowania portretów Niemcewicza, Czartoryskiego, których zamyka paru kreskami, a mimo to portrety nie są ani „rzucone“, ani „lekkie“, a co najważniejsze nie mają nic z efekciarstwa wizerunków pendzla malarzy nadwornych, rozporządzających paru *truc*'ami na oddawanie „majestatycznych“ rąk królowej matki i dystygowanej niewinności młodej arcyksiężniczki. Nic z tych „rasowych, suchych rąk“, „pysznych głów“, „wspaniałych siwych czubów“.

Parę plam, kilka kresek — i najniespodziewaniej cofnięci zostaliśmy o sto lat — o prawdziwych, ciężkich sto lat, o sto lat, które znaczą, o które ludzkość postarzała. Wołoszynowski zaledwie powiedział nam parę zdań — a pewni jesteśmy, że tylko co oglądaliśmy Xięcia Adama Czartoryskiego z jego otoczeniem, meblami, służbą i wielce stroskaną duszą. Byliśmy u Xięcia na audjencji. To, co się określa jako „magję słów“, ten specyficzny dar poety — możnaby w podręcznikach ilustrować na wyjątkach ze „Słowackiego“.

Ażeby utrafić w ton cudzej psychiki i ażeby uczynić to z tą precyzją, która potrzebna jest artyście do namalowania fikcyjnego portretu postaci historycznej — nie wystarczy wczuć się w oddzielne elementy tej psychiki — trzeba jeszcze uchwylić ich proporcję. I znowu powracam do „kompleksu podstawowego“ naszego autora: wytworność, skrupulatność, fantastyczność. Tak, ale tu jest też... Słowacki. Wszystkie trzy elementy ilościowo zrównoważone. Zdaje nam się, że jeden z nich bierze górę? Ależ nie! Poszukajmy dobrze. — Ostatnie widzenie z matką (a ta scena pożegnania na dworcu! A ta kolej żelazna z przed stu laty! Nic nam prawie o niej Wołoszynowski nie powiedział, a czujemy, jak trzęsą pudełeczka — wagoniki). Toaleta Słowackiego przed śniadaniem, ta czarna wstążka... a Julek zaraz będzie mówił z panią Salomeą o rzeczach ostatecznych w tonie proroczym, z akcentem konieczności. Są w tej rozmowie jakieś srebrne tony, i coś, co jest jednocześnie czarnym, śmiertelnym smutkiem i nadludzką radością. I jeszcze jedna nuta: tajemnicze wiązadło, które spaja ten patetyczny stan duszy z Polską kosmiczną, idealną, i równocześnie z Polską polityczną, Polską chwili bieżącej. A Słowacki ślicznie uczesany — i to wcale nie jest przypadek ani błahostka. Ta fizyczna wytworność Słowackiego ma swój wymiar metafizyczny, jest, jakby to rzec, nie z tego świata — wytworność księżycowa — i Wołoszynowski przejrzał to znakomicie. A słowo samo „wytworność“, okrojone w użyciu dzisiejszym do

synonimu oglądy — czyż nie sięga głębiej? Jesteśmy świadkami tajemnicy zestrojenia się psychicznego dwu dusz, które się odnalazły poprzez czas, ponad zawieruchą dziejów. Stanisław Wasylewski w swej świetnej przedmowie do „Słowackiego“ ogromnie przenikliwie podkreśla te subtelne powinowactwa między autorem a bohaterem opowieści.

Niewdzięczne to zagadnienie — granicy poezji i prozy. Niestety Wołoszynowski zmusza mnie do wypowiedzenia na ten temat paru uwag. Jego „Słowacki“ (czego autorowi gorąco życzę, a jeszcze goręcej naszej krytyce literackiej) — rzuć, być może, tę sprawę znowu na ostrze noża. — Oby!

Jakkolwiek w naszym poczuciu literackim obraz „prozy“ wyraźnym zupełnie konturem odcina się od obrazu „poezji“ — to jednak nie jest rzeczą łatwą ująć różnicę między poezją i prozą w zwięzłą i możliwie wszechstronną formułę pojęciową. Nie będę się też o to kusił. Poprzestanę na uwagach dajagnostycznych. Prozaista pisze prawie tak, jak myśli człowiek przeciętny. Większość zdań dobrego prozaisty mogłaby wyjść z pod pióra każdego poprawnie piszącego człowieka (tak, większość — pozostałyby bowiem zdania, które są właśnie poezją.) — Rozmysł artystyczny pisarza nie wyraża się tu w takim konstruowaniu poszczególnych zdań, aby „uderzały“ bezpośrednio wyobraźnię czytelnika, lecz w tego rodzaju ich uporządkowaniu, układzie i konsekwencji, by w rezultacie stworzyły przed wzrokiem czytelnika ten obraz, który mu autor chciał odsłonić.

Inaczej postępuje poeta. On wypowiada się w każdym zdaniu; każde zdanie jest odrębnym światem wzruszeniowym, w każdym z nich zamknięte jest już coś, co ma życie samoistne, co mówi samo za siebie. Prozaista reżyseruje słowa, poeta gra po kolei rolę każdego z nich.

Współczesna literatura polska wyróżnia się między innymi i tem, że granice pomiędzy prozą a poezją są w niej mocno zatarte. Przytoczę dwa przykłady: Reymonta i Żeromskiego. „Proza“... „Chłopów“? Nie tak to łatwo ją znaleźć. — Gdyby znowu z Żeromskiego pozostała jego proza tylko — pisarza tego możnaby śmiało z literatury wykreślić. Pisma Żeromskiego żyją tylko jego poezją. — Niesposób też nazwać „prozą“ utworu Wołoszynowskiego — byłoby to już równoznaczne ze stwierdzeniem, że proza — jest to właśnie... poezja.

Tak: „Słowacki“ — to poezja, szczególnego rodzaju poezja. Występuje tu nie tylko charakterystyczne, indywidualne życie zdań. Antyprozaiczność utworu znaczą się również w specjalnym stosunku pisarza do tematu. Autor okroił życie Słowackiego do momentu marzenia. Marzenie wypruł z tkanki życia jako twór samostarczalny. Co więcej, Słowackiego, bohatera „powieści“, rzucił autor na tło epoki tak namalowanej, jak przedstawiała się wzrokowi twórcy „Króla Duchy“. Dał nam obraz Słowackiego, rzucony na ekran jego, Słowackiego, marzenia. Wszystkie postaci opowieści tyle tylko mają bytu realnego, ile im na to marzenie Słowackiego pozwala.

Opowieść cała pogrążona jest w śnieżnym, zwiewnym, puszystym tumanie snu. Oglądamy świat poprzez wielką mleczną szybę. Panuje tu jakaś patetyczna, szlachetna bezkonturowość.

Sen czy jawa, poemat, powieść, czy opowieść — jest „Słowacki“ Wołoszynowskiego książką wysoko wyrastającą ponad poziom „dobrej“ nawet literatury. „Słowacki“ wyszedł jako tom pierwszy „Biblioteki autorów polskich“ wyd. Wegnera w Poznaniu. Witamy w tym wyborze światłą politykę redakcyjną Stanisława Wasylewskiego. Po takim początku niżenie poziomu jest niemożliwością. „Słowacki“ obliuguje.



## Z ŻYCIA NAUKOWEGO

Prof. Jan Rozwadowski ustąpił ze stanowiska prezesa Akademii Umiejętności. Na jego miejsce Akademia wybrała na prezesa dotychczasowego wiceprezesa dr. Kazimierza Kostaneckiego, prof. anatomii porównawczej Uniw. Jagiellońskiego.

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Zygmunt Wojciechowski wydał dzieło p. t. „Prawo rycerskie w Polsce” (Poznań 1928. Nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauk). Genezą prawa rycerskiego średniowiecza zajmowało się wielu historyków, a w szczególności Stenzel, Piekosiński, Smolka, Semkowicz i Bobrzyński. Prawo rycerskie, *ius militare*, obejmowało prócz własności ziemskiej szereg uprawnień: Główną rycerską i nawiązkę, czyli opłatę karną za pobicie rycerza, i uprawnienie „swobodnej dziesięciny”, czyli opłaty należnej Kościołowi, przyczem rycerz miał prawo wyboru kościoła, któremu chciał płacić tę daninę. Dalej należało do uprawnień rycerza immunitet ekonomiczny i sądowy, co wyrażało się w tem, że rycerz mógł lokować wsie na prawie niemieckim, chłop zaś zamieszkujący wieś podlegał jego sądownictwu. Wkońcu uprawnieniem było zwolnienie rycerzy z pod sądownictwa urzędników książęcych i poddanie ich bezpośrednio sądowi księcia. Prócz tych najważniejszych uprawnień były też drugorzędne: prawo budowania młynów, karczem, prawo polowania, prawo łowienia ryb, zakładania uli i t. d. Wyjątkowo tylko książę zezwalał na wydobywanie z ziemi kruszców, gdyż to prawo zawsze przysługiwało jemu samemu. Ważne było prawo rycerskie ze względu na służbę wojskową, jako wynagrodzenie za tę służbę.

Wobec tego, że nasze średniowieczne stosunki socjalne różniły rycerza i włościanę, również i prawo rycerskie w pewnych swych częściach różniło się, odnośnie do jednej czy drugiej warstwy. Między przywilejami wojskowymi był też przywilej pasowania na rycerza, do czego odnosi się wyrażenie *miles cinctus* (rycerz opasany pasem rycerskim i mieczem). Zwolnienie rycerza od opłat oraz obowiązek monarchy płacenia rycerzowi za służbę wojskową poza granicami państwa, zostały ustalone i określone w ważnych paktach koszyckich. Bardzo ciekawym jest stosunek *ius militare* do stanowiska rodów. Dr. Z. Wojciechowski dochodzi do przekonania, że prawo rycerskie nabywało się też przez pochodzenie z rodu uprawnionego.

Dla przejrzystości swej monografii autor dzieli cały materiał dyplomatyczny, na którym w swych wywodach się opiera, na kilka grup, zależnie od tego, czy te notatki dyplomatyczne odnoszą się do Małopolski, Wielkopolski, Pomorza, Śląska czy Mazowsza. Notatki dyplomatyczne o prawie rycerskim poczynają się pojawiać w XIII wieku, i pozostało ich kilkadziesiąt.

Praca prof. Wojciechowskiego, treściwa, jasna, przynosi wiele nowych wiadomości, a wypowiedziane w niej poglądy mają duże znaczenie dla dalszego rozwoju polskich nauk historycznych.

Bardzo pociesającym objawem dla rozwoju polskiej historiografii jest wzrastające zainteresowanie się historyków tematami pomorskimi. Ma to olbrzymie znaczenie, już nie tylko naukowe i kulturalne, ale i polityczne. Na temat pomorski wydał w rozprawach Pol. Akad. Um. pracę ks. Dr. T. a. d. G. l. e. m. m. a p. t. „Stany pruskie i biskup chełmiński Piotr Kostka wobec drugiego bezkrólewia”. (1574—76). Oparłszy swe badania na źródłach archiwalnych, przedstawił autor stanowisko Prus i biskupa Kostki względem podwójnej elekcji Maksymiljana i Batorego. Dowiadujemy się, że Prusy, które początkowo były prawie całe za Habsburgiem, zwolna przeszły na stronę Batorego. Największy opór stawiały naturalnie niemieckie wielkie miasta, z Gdańskiem na czele, które wraz ze zniemczoną szlachtą województwa pomorskiego były najzagorzalszymi zwolennikami Austriackiego. Natomiast szlachta chełmińska opowiedziała się za Batorem. Dokładnie został uwzględniony w pracy X. Glemmy separatyzm pruski, szczególnie niebezpieczny dla świeżo połączonej z Litwą Rzeczypospolitej. Bohater opowiadania, bp. Kostka nie wyrasta niestety, jako kierownik polityczny Prus, niczem ponad przeciętność, a jego chwiejność odbiła się napewno na niezdecydowanej postawie stanów pruskich względem Batorego.

Czwarty zeszyt 42 rocznika „Kwartalnika historycznego” przynosi niezwykle interesującą rozprawę prof. Stan. Kętrzyńskiego, rzucającą wiele światła na dość zagadkową dotychczas sprawę, jaką drogą doszło w XIV w. w Polsce do zaniku urzędów kanclerskich w poszczególnych dzielnicach i do przekształcenia kanclerstwa krakowskiego na koronne. Wyjaśnia dalej prof. Kętrzyński genezę znaczenia podkanclerzego koronnego. W dziale recenzji znajdujemy krytyczne omówienie doskonałych „Dziejów Polski Średniowiecznej” prof. Grodeckiego s. p. Zachorowskiego i J. Dąbrowskiego, przez wytrawnych znawców średniowiecza, prof. Semkowicza i Papęgo. Sąd tych uczonych wypada pomyślnie dla recenzowanej książki. Zamyka zeszyt Bibliografia historii

W Bibliotece ilustrowanych wykładów oświatowych, wydawanej przez Polską Macierz Szkolną (Warszawa, Krak. Przed. 7) wyszły cztery nowe, doskonałe wykłady dyrektora Macierzy, Józefa Stemlera: 1) Jak żyją ludzie na świecie, 2) Państwo polskie (Gdzie my, kto my i po co my?) 3) Kto najlepiej w Polsce rządził, 4) O ludziach dawnych i dzisiejszych. Są to gotowe materiały do pogadanek oświatowych, dostosowane do przezroczy z oznaczeniem miejsc, gdzie obrazy mają się ukazywać. Wykłady dyr. Stemlera słyną ze znakomitej treści dydaktycznej i w formie swojej z przejrzystości. Słowa jego są same przezrociami. Poza tem w tejże Bibliotece wyszła broszura instrukcyjna dla organizatorów oświaty p. t. „O nowym systemie akcji wykładowo-oświatowej”. System ten wypróbowany przez Wydział oświaty pozaszkolnej Macierzy w Kielcach, pod kierunkiem ks. St. Machowskiego, winien być zdaniem dyr. Stemlera rozszerzony na cały obszar Polski.

Inteligencja polska na prowincji i młodzież uniwersytecka, mająca ze wsią stosunki, powinny się bliżej zainteresować działalnością Macierzy. Przy tych pomocach, jakie dzisiaj istnieją, choćby w postaci takich gotowych wykładów i aparatów projekcyjnych, które Macierz wypożycza, można bez wysiłku zdziałać po wsiach i miasteczkach wiele dobrego i w dodatku zyskać opinię znakomitego prelegenta. Z temi pomocami i bogatą biblioteczką tanich wydawnictw łatwo się zapoznać w księgarni Macierzy przy ul. Wareckiej 15.

Czasopismo „Sprawy Narodowościowe” w № 6 (grudzień 1928) ogłasza obszerną pracę statystyczną dr. A. Krysińskiego p. t. „Liczba i rozmieszczenie Ukraińców w Polsce”. Autor określa ludność „ukraińską” cyfrą 4.900.000 dusz. Ukraińcy doliczali się 8 milionów.

„Walki z Bolszewizmem” wyszedł zeszyt 18.

Wychodzący we Lwowie „Literaturno-naukowy Wistnik” nadesłał zesz. III z r. 1929 (marzec).

Zeszyt marcowy (83) „Przeglądu Współczesnego” zawiera kilka interesujących rozpraw: prof. A. Tretiaka „Przedromantyzm angielski”, Zyg. Szwejkowskiego „Pozytywizm polski” (próba syntezy) i Pawła Rybickiego „O zmianach w obyczajowości współczesnej”.

W „Przeglądzie Powszechnym” za marzec mamy szereg rozpraw o Polsce: bisk. Szlagowskiego „Zmartwychwstanie Polski”, J. Bobrzyńskiego „Czy Polska jest państwem sezonowym”, min. Kwiatkowskiego „Czem Polska dzisiejsza różni się od Polski dawnej”, I. Balińskiego „Niebezpieczeństwa Polski wewnętrzne” i in.

## Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„La Lorraine à l'époque gallo-romaine” jest bardzo pouczającą i wyczerpującą pracą, odnoszącą się do tej dotąd mało znanej epoki. Autor jej p. Maurycy Toussaint, lotaryńczyk, (gorący polonofil, który, nawiasem mówiąc, po raz pierwszy zetknął się z Polską, kiedy jako jeniec wojenny został wywieziony na Górny Śląsk), odtworzył w tej pracy z pietyzmem życie swych odległych lotaryńskich przodków. Do napisania jej posłużył się on całym szeregiem niewyzyskanych dotąd roczników i pamiętników lokalnych, tak że sama bibliografia, dołączona do książki, stanowi źródło dokumentacyjne dużej wagi dla tych wszystkich, którzy się tą epoką interesują. W tej pracy, bardzo metodycznej, autor wielki przedewszystkiem kładzie nacisk na drogi komunikacyjne, naturalne oraz sztuczne t. j. drogi rzymskie, dokoła których organizowało się życie. Rzymianie, zdaniem p. Toussaint, mało wnieśli zmiany do istniejącej już cywilizacji galijskiej. Wprowadzili do niej język, który zlał się z językiem krajowym, a następnie w swej ewolucji wytworzył język romański, którego coraz bardziej zamierające ślady spotkać jeszcze można w miejscowych narzeczeniach. Rzymianie wprowadzili również nieznaną dotąd w Galji sposoby konstrukcji. Dodać należy, że ciekawy ze wszech miar wstęp do tej książki napisał znany historyk francuski, p. Camille Jullian, interesujący się, jak wiadomo, bardzo żywo tą epoką.

P. Edouard Herriot od chwili, kiedy jest tylko zwykłym deputowanym, publikuje liczne artykuły polityczne, pracując równocześnie nad nowym utworem, a mianowicie „La Vie de Beethoven”. Były prezes ministrów jest też, jak wiadomo, autorem „La vie de Madame Récamier”, która została także z dużym powodzeniem wyświetlona w kinematografie.

Marius-Ary Leblond przygotowują nową powieść egzotyczną p. t. „Le célibataire des Indes”. Gwałtowna to satyra przeciwko celibatowi, która wprowadza w różne środowiska kosmopolityczne Indji oraz Francji, wykazując, jak dalece człowiek może być torturowany przez przyjemności, którym się oddaje. Powieść ta, jakkolwiek realistycznie przeprowadzona, będzie miała silne założenie katolickie.



## OFENSYWA

AS-DUR

**N**AJSPOKOJNIEJ, bez jednego słowa komentarza, donoszą gazety, że na licytacji berlińskiej antykwariat Breslauera zakupił za sumę 9.050 marek czyli 19.276 złotych rękopis Fryderyka Chopina:

Polonez As-dur!

Informuje o tem depesza Pata z 8 Marca. Znacznie przedtem pisma polskie („Kurj. Warsz.“) informowały, że taka licytacja ma się odbyć, że będzie też kilka listów Chopina do sprzedania, szczególnie jeden list z r. 1848 ze Szkocji do Paryża do przyjaciół, gdzie Chopin daje wyraz przeczuciom nadchodzącej śmierci.

Nie zgłosił się nikt. Żaden Polak do licytacji nie stanął. Na tej samej licytacji—Schuberta rękopis muzyki do „Króla Olch“ kupił jakiś Niemiec za 25.000 marek. Wogóle rękopisy znakomych i zasłużonych wielkich ludzi na licytacjach dochodzą do zawrotnych sum. Niedawno za rękopis Byrona „Marino Faliero“ zapłacono 27.000 dolarów. *British Museum* rękopis „Kruka“ E. A. Poe'go nabyło za 100.000 dolarów. Za wierszyk Burusa p. t. „Moja miłość jak Pora Czerwona“ dano 250.000 franków. Za rękopis Pope'a poematu o „Człowieku“, tylko trzy części (defekt)—725.000 franków. Za jeden list Dickensa z 8. czerw. 1870 r., arkuś kilkanaście słów, uzyskano 480 funtów. Za list Napoleona do Barrasa, króciutki, dano w Paryżu 20.200 franków. Za rękopis Zoli: „Doktora Pascala“ Biblioteka Narodowa na licytacji dała 60.000 franków. Ostatnio nawet za rękopisy i listy jeszcze żyjących autorów, lub nie tak dawno zmarłych, płacą amatorzy olbrzymie sumy. Za kilka listów Flauberta do Feydeau dano świeżo 131.000 franków.

W Berlinie na licytację listów Chopina nie zgłosił się żaden Polak. Rękopis poloneza As-dur sprzedano Breslauerowi za 9.058 marek. Izraelita Breslauer sprzeda wnet do Ameryki za dwa lub trzy razy tyle.

Czem był i czem jest Polonez As-dur w życiu duchowym Polaków z ery niewoli, pisać o tem niema potrzeby. Dawał najwyższe ekstazy trzem generacjom. Krzepił serca i dumą napawał. Rozrastały się przy jego dźwiękach dusze rycerskie. Dawał natchnienie naszym największym. Dochodził tam, gdzie nie dochodziło żadne słowo polskie i słowo o Polsce. Był ambrozją i nektarem niewolników. Płakali przy nim starzy i młodzi. Panujący trzech państw zabornych bili po nim oklaski. Wywoływał wizje potęgi państwa polskiego. Świadczył wszystkim, że „nie zginęła“. Korzyły się przed nim najwyższe duchy ludzkości. Dodał nadziei i otuchy.

Rękopis Chopina znaczy tyle, ile rękopis Kopernika, Mickiewicza, Kościuszki. Powinien być świętością, relikwią, złożoną może na Wawelu w szczerzłotej szkatule, świętością narodową, taką jak kielich rycerzy Świętego Graala, jak tablice Mojżeszowe. Tymczasem nabył go na licytacji w Berlinie kupiec Breslauer. W r. 1928/9.

Oto *signum temporis*... Tu już naprawdę nie ręce łamać, ale kości. Państwo! Mocarstwo! Ambasady! Armja! Parady! Zjazdy! I nie znalazł się jeden magnat polski, jeden obszarnek, bankier, „nuworysz“, któryby się poczuwał do obowiązku. Ani jedna instytucja! Ani jedno muzeum. Z departamentu Sztuki nikt nie pomyślał o tem, żeby z funduszu pięciomiljonowego wyasygnować 19.276, na rękopis As-dur Chopina! Z 26 milionów funduszy dyspozycyjnych, godzinowych funduszy, nie znalazło się 20.000 złotych na zakup tej relikwii. Nikt czytając zapowiedź tej licytacji nie drgnął nawet! Żaden Polak żywy nie ruszył się z miejsca. Dziennie wyrzucają i wyrzucali setki tysięcy na zakupywanie ludzkich sumień. Zagraniczni dziennikarze dostawali napchane portfele za jeden artykuł reklamujący „przewrót“... Kolosalne sumy pochłonęli narciarze zafundowani dla „rozświetlenia“ Zakopanego. Kolosalne sumy kosztują zjazdy chłopów na zamek, imieniny, rocznice! Kolosalne sumy przepijają ladacznicy „sanacyjni“ w „Oazach“ i „Savoyach“. Luksusowe samochody sprawiają wojewodom, wygłaszającym mówki godne woziwodów. Kolosalne sumy kosztowało wpakowanie Bebeków do Sejmu i Senatu! Kolosalne sumy kosztuje korumpowanie prasy! Dwa miliony omal kosztowała nieudana impreza atlantycka i uratowanie „Marszałka Piłsudskiego“ przez niemiecki statek „Emden“.

A na zakupno rękopisu Chopina niecałe dwadzieścia tysięcy złotych się nie znalazło, bo to *imponderabilia... praetium affectionis*... Zresztą Chopin! Co tym Azjatom do Chopina? Przecież mają swoje: „*Blaue Husaren*“. Ohyda!

„SZEŚCIU PANÓW... B“

W repertuarze teatrów paryskich autorzy proweniencji semickiej odgrywają olbrzymią rolę. Jest ich bowiem sporo, a mianowicie biorąc z brzegu: Bernstein, Porto-Riche (zwan Porco-riche) T. Bernard, Wolff, Croisset (Wiener), See, Weil, Noziere, Savoir, Picard, Coolus, Raynal, J. J. Bernard, Orna, Lang, A. Athis, A. Natanson, J. Natanson, Fleg, Duvernois, H. Marx, nie licząc już autorów rewij, skeczów i t. p.

O tym specyficznym „Teatrze“ pisał swego czasu zirytowany Pierre Brisson (zięć Sardou), znakomity krytyk, referujący w „*Comoedia*“:

„Istnieje u nas Teatr żydowski, ma on swój osobliwy smak; dla odczucia tej jego osobliwości konieczna jest pewna umiejętność, praktyka i finezja. Jakkolwiek zmysł krytycyzmu, idący w parze z mocną inteligencją, jest właściwy rasie i czyni duszę Izraela „chwieżną i niespokojną“, zmysł ten w żydowskiej sztuce dramatycznej, obecnie zwycięskiej we Francji, nie jest dostrzegalny. Przeciwnie. Teatr żydowski jest druzgocąco pewny siebie. Wykazuje swą wyższość w gwałtowności, w brutalnej zmysłowości, narzucającej się i rozkochanej w sobie; lubuje się w nieosłoniętej i omal cynicznej mowie o sprawach miłosnych, ma upodobanie w uczuciowej anarchji. Poza tem jeszcze egzaltowany „egocentryzm“, pycha, pobudzana nawet przez porażki, oraz stan agresywnej brutalności, dalej nieprzewyciężony wstręt do wszystkiego, co jest dyscypliną, przymusem, nakazem moralnym... dążenie do hałaśliwych sukcesów; ostra, zdecydowana wola osiągnięcia triumfów w życiu i wyczerpania wszystkich jego rozkoszy... oto znamiona główne żydowskiej psyche, uwidocznione w triumfującym dziś we Francji „żydowskim teatrze“.

Jest to twórczość teatralna, godna podziwu, rozkoszna, ale razi i niepokoi, do głębi sympatji nigdy apelować nie mogąca, narzucająca się potęgą akcji, inteligencją spragnioną odkryć, często nadzwyczaj przenikliwa. Łatwiej jest zresztą określić autorów scenicznych żydowskich przy pomocy negatywnej. Nie mają poczucia równowagi i skończonej doskonałości. Duchowi ich obcy jest umiar. Są bardziej nerwowi niż uczuciowi, bardziej impulsywni niż tkliwi, ani w nich szczerości ducha ani naiwności, obca im układność stylu i myśli. Nie są poetami. Wielkie, bohaterkie uczucia, niektóre głębsze odzewy duszy ludzkiej są im niezbrane“.

I t. p. uwagi trafne Brissona dadzą się też zastosować do twórczości semitoidów, judaizantów, Żydów kądzielowych, *squarmanów* (tak nazywają w Anglii pożenionych w semityzmie). W niektórych wypadkach objawy notowane u Brissona gwałtowniej jeszcze występują u t. zw. semi-semi, czyli Żydów honorowych (Boy, Kaden i t. p.) niż u notorycznych.

ADOLF NOWACZYŃSKI

## NA MARGINESIE

Stronnictwo „Wyzwolenia“ uchwaliło na posiedzeniu swego zarządu interesującą rezolucję, z której dowiadujemy się, że „pewni ludzie ze sfer obecnie rządzących w Polsce dają częstokroć gorszące widowisko używania życia nad stan. Stały udział tych ludzi w niesłychanie kosztownych zabawach i hulankach tak w Warszawie, jak i na prowincji zaczyna przypominać czasy saskie...“ Okoliczność tutaj zaznaczona pozwala zrozumieć nastroj, w jakim opinia publiczna wysłuchuje dyskusyj budżetowych w sprawie oszczędzania grosza publicznego. Czasy są ciężkie dla sfer oświeconych, a te właśnie wysłuchują sensacyjnych opowiadań o młodzieńcach w średnim wieku, otrzymujących 600 zł. dziennie płacy, to znów o innych, którzy na polowaniu dyktują szlachcie, że nie zwykli grać bridza taniej, jak po 100 zł. punkt i t. p. Ogółem tem sobie tłumaczy niezadowolenie B.B. z sejmu, że w cyfry wgląda, i tendencję zniesienia parlamentaryzmu, a z drugiej strony—tajemnicę owej radości „budowania“ zwłaszcza w przerwie między posiedzeniami sejmowemi.

\*  
Organ zbliżenia polsko-niemieckiego, tygodnik „Głos Prawdy“ (nr. 288) zapowiada:

„PEN-Klub przygotowuje się do przyjęcia w ostatnich dniach marca wielkiego poety niemieckiego, serdecznego przyjaciela Stanisława Wyspiańskiego, Däublera...“

Biografowie Wyspiańskiego milczą jakoś zgodnie a uparcie o tej „serdeczności“... W korespondencji, pozostałej po twórcy, „Wesela“, autor notatki z „Głosu Prawdy“ również chyba nie potrafiłby wskazać jakiegokolwiek jej śladu. Pocóż więc dla niecierkawej manifestacji politycznej naszych germanofilów wzywa się nadaremnie — wielkie imię Stanisława Wyspiańskiego? Trochę więcej pokory i — dystansu, panowie pośrednicy od *Mittel-europejskich* geszeftów!

ERRATA: W № 10 „Myśli Narodowej“ w części nakładu wskutek niedokładności drukarni zniekształcone zostały na stronie 149: podpis pod artykułem „O samorząd dla Lwowa i Ziemi Wschodnich“ oraz podpis pod *mottem* artykułu „Świadectwo ubóstwa“. Pierwszy podpis winien brzmieć: Władysław Świrski, drugi — Bolestaw Prus.

CZAS ODNOWIĆ PRZEDPŁATĘ NA KWARTAŁ DRUGI

PP. prenumeratorom, którzy dotychczas nie uiszcili opłaty za kwartał pierwszy r. b., dalsze przesyłanie „Myśli Narodowej“ zostanie wstrzymane.



Hodowla i Skład Nasion

# Bracia Hoser

W Warszawie, Jerozolimska Nr. 45, tel. 5-81

polecają:

Nasiona

pastewne

warzywne

kwiatowe

Rośliny

Narzędzia

i przyrządy

ogrodnicze

Firma istnieje

od 1848-go roku

ZAKŁADY OGRODNICZE

# C. ULRICH

założ. 1805 r. w Warszawie, S. A.  
Centrala — Ceglana 11, tel. 9-25.

NASIONA

WARZYWNE, KWIATOWE, PASTEWNE, ROLNE.  
NARZĘDZIA i PRZYRZĄDY OGRODNICZE

Własne wypróbowane, specjalne  
ŚRODKI CHEMICZNE

do walki ze szkodnikami drzew:

KARBOLINA ULRICHA do opryskiwania drzew owocowych, zwłaszcza śliw. Tępi mszyce, tarczki i grzybki. SANOL ULRICHA do smarowania drzew, owocowych przeciw korówce (mszyce krwistej).

PARASAN ULRICHA przewyższa własności cieczy bordoskiej, absolutnie nieszkodliwy dla liści i owoców.

LEP ULRICHA NA OPASKI. Zabezpiecza drzewa owocowe przeciw przedziwkowi.

Ponadto specjalne środki do niszczenia niepożądaney trawy na ścieżkach, drogach, placach sportowych i t. p.

NAWOZY SZTUCZNE MIESZANE.

specjalne: do kwiatów pokojowych i gruntowych.

do róż, do poszczególnych warzyw,

do krzewów owocowych, do drzew owocowych.

Sprzedaż hurtowa i detaliczna.

Cenniki, katalogi i oferty na żądanie.

Drzewa i krzewy owocowe i ozdobne.

PRZESZŁO 70-LETNIE ISTNIENIE FABRYKI

# B-ci HENNEBERG

i trwałość jej wyrobów

TO NAJLEPSZA REKLAMA

Polecamy platery w magazynie

fabrycznym Trębacka Nr. 1

OSTATNIE PRACE

ZYGMUNTA

# WASILEWSKIEGO

Na wschodnim posterunku zł. 4.—

O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej 1.20

Mickiewicz i Słowacki . 3.—

Seweryn Goszczyński 2.—

Z życia poety romantycznego 1.20

Jan Kasprowicz 4.—

Współcześni 6.—

Proces Lednickiego 5.—

Dyskusje 5.—

Wspomnienia o Kasprowiczu i Żeromskim 4.—

Poeci i teatr 7.50

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.

**TREŚĆ:** Na czworakach Z. Wasilewskiego. — Konserwatyzm na rozdwoju M. Kiniorskiego. — Rząd czy prezydent? W. Kormarnickiego. — K. H. Rostworowskiego „Niespodzianka“ K. L. Konińskiego. — Liberum veto Al. Świętochowskiego. — Głosy: Wiatr od łoży K. M. M.; Po dymisji min. Czechowicza Ign. — Z polityki zagranicznej S. K. — Wychowanie narodowe Z. Szmydtowej. — Nauka i literatura („Sen o Słowackim“ J. E. Skiwskiego it.d.) — Ofensywa A. Nowaczyńskiego. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, za granicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.  
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI

Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o.o., Chmielna 27. Telefon 27-15.

PRZESYŁKA POCZTOWA OPLACONA RYCZAŁTEM



brobytu mas. Ale i w tej dziedzinie powszechne doświadczenie wskazuje, że osiągnięcie tych celów nie dokonywa się drogą demagogji i spełniania ślepego żądań rzesz głosujących. Masy, zwłaszcza rozagitowane, widzą tylko doraźne korzyści, które w rezultacie mogą sprowadzić ruinę i nędzę, agitatorowie podnoszą tylko antagonizm interesów klasowych, gdyż to zapewnia im powodzenie, aczkolwiek wspólność interesów społeczeństwa znakomicie przeważa nad ich rozbieżnością. Nawet przeto w rozstrzygnięciu zagadnień gospodarczych i społecznych głos decydujący powinien przypaść osobom kompetentnym, umięjącym ogarnąć całość stosunków i przewidzieć skutki takich lub innych zarządzeń. Przecież obecnie sami przedstawiciele poszczególnych ugrupowań gospodarczych ograniczają się do wysuwania jednostronnego ciasnych postulatów egoistycznych, jakby rozumiejąc, że ktoś powołany winien dać syntezę zwalczających się prądów.

Wszelako grupa rządząca utrzymać się może przy władzy tylko przy poparciu opinji publicznej. Masy nie są zdolne do rozstrzeganja skomplikowanych problemów, ale muszą darzyć rządzących zaufaniem. Należy zatem wytworzyć hierarchję umysłowo-moralną, wytworzyć autorytety, które kierują i rozkazują, a nie schlebiają tłumom. Dyktatura może być jeno przejściową formą rządów. Zjawia się wówczas, gdy jednostka zdobędzie szczególną popularność, a wskutek specjalnych okoliczności społeczeństwo zwątpiło w swoje siły i ogarnęło je zniechęcenie. Normalnie winno istnieć przedstawicielstwo szerokich mas, które należy pozyskać dla idei narodowej. Reprezentacja ludności daje rządzącym poznać tendencje panujące w społeczeństwie, i daje możliwość stwierdzenia, czy rządzący posiadają zaufanie ludności.

BOHDAN WASIUTYŃSKI

## AUTONOMJA ŚLĄSKA

**A**UTONOMJA województwa śląskiego jest w ustroju Polski anarchizmem, który należy usunąć w możliwie najbliższej przyszłości. Tworzy ona w Rzeczypospolitej dualizm polityczno-państwowy, robiąc z województwa śląskiego republikę w republice, przynosząc przez to Państwu raczej wiele szkód, niż korzyści. Dziś gdy sprawa reformy ustroju Rzplitej wogóle stała się aktualna, również i potrzeba naprawy w tej dziedzinie nie powinna być pominięta ani przewlekana.

Patrząc na autonomję Śląska ze stanowiska historycznego, przyznać trzeba, że pierwotnie była ona potrzebna, gdyż uchwałą parlamentu niemieckiego z listopada 1919 r. przyrzeczono ówczesnemu terytorjum plebiscytowemu odrębną państwowość w związku Rzeszy niemieckiej, jeżeli ludność jego oświadczy się w głosowaniu plebiscytowem za pozostaniem przy Niemczech a potem w osobnem głosowaniu zażąda samodzielności państwowej w charakterze odrębnego niemieckiego państwa związkowego (*Bundesstaat*). Był to sprytnie przez Niemców obmyślony i niebezpieczny dla sprawy polskiej manewr agitacyjny, wobec którego Polska musiała poczynić stosowne kroki, by go unicestwić. To też Sejm Ustawodawczy w dniu 15 lipca 1920 r. uchwalił „Statut organiczny Województwa Śląskiego“, nadając mu cechę „ustawy konstytucyjnej“.

Akt ten miał ważne dla agitacji plebiscytowej następstwa, bo wytrącił Niemcom z ręki ważny atut polityczny na czas walki agitacyjnej, a następnie, po przyłączeniu Śląska do Polski, umożliwił prędką organizację nowego województwa. Jako środek przejściowy i tymczasowy autonomja śląska miała tedy swój walor, wszelako obecnie, gdy już państwowość nasza na Śląsku zapuściła mocne i trwałe korzenie, uważać ją należy za przeżytek, który w formie dotychczasowej nie powinien być długo utrzymywany.

Autonomiczne województwo śląskie jest jak wskazyaliśmy na wstępie, jakby republiką w republice, przez co w niemałej mierze przyczynia się wśród pewnych sfer ludności miejscowej do separatyzmu a wiernemu ideałom narodowym ogółowi ludności przeszkadza w całkowitem zespoleniu się państwem z resztą narodu. Cechą główną i znamioną tego dualizmu jest Sejm śląski, składający się z 48 posłów. Członkowie jego korzystają według art. 17 Statutu Organicznego z „takich

samych praw nietykalności poselskiej, co posłowie do Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej“ i otrzymują według art. 18 „djety w wysokości określonej uchwałą Sejmu“, który zrównał ją z poborami na Sejm Rzeczypospolitej, co razem z drukami i administracją powoduje dla skarbu śląskiego wydatek roczny sięgający 600,000 złotych. Nietykalność poselską wykorzystują przedewszystkiem posłowie narodowości niemieckiej, złączeni pomimo różnicy przekonań politycznych i społecznych w jeden klub w liczbie 16, co stanowi trzecią część wszystkich członków Sejmu.

Wojewoda śląski nie jest zwyczajnym urzędnikiem państwowym w IV randze poborów. Jest to w całym tego słowa znaczeniu dostojnik państwowy, który w razie dymisji musi otrzymać emeryturę, chociażby tylko króciutki czas urzędował. Łączy on w swej osobie władzę, którą w państwie pruskim piastowali: naczelny prezydent prowincji śląskiej i prezydent rejencji a na Śląsku Cieszyńskim prezydent kraju (art. 26). Statut organiczny wyposażył go dodatkowo w następujące prawa: 1) inicjatywę ustawodawczą w Sejmie śląskim (art. 23), 2) prawo przemawiania w Sejmie i delegowania urzędników do Sejmu z takim samym prawem (art. 23), 3) uczestnictwo i prezydjum w Radzie wojewódzkiej (art. 25), 4) mianowanie i udział przy mianowaniu urzędników i władz województwu podległych (art. 25), 5) prawo zwoływania Rady wojewódzkiej i tymczasowego zawieszania jej uchwał (art. 31 i 32), 6) prawo wyrażenia opinji przy mianowaniu wyższych urzędników wojewódzkich (art. 33), 7) prawo wyrażania opinji przy mianowaniu sędziów, wszelako tylko w pierwszych pięciu latach po objęciu Śląska przez Polskę (art. 38).

Rada wojewódzka, prócz wojewody i wicewojewody, składa się z pięciu członków, wybieranych corocznie przez Sejm śląski w głosowaniu stosunkowem. Rada odbywa posiedzenie dwa razy w tygodniu, za co jej wybrani członkowie pobierają pełne djety poselskie. Korzysta ona według art. 27 „z praw nadanych ustawami pruskimi Radzie Prowincjonalnej względnie Wydziałowi Prowincjonalnemu tudzież z praw, nadanych statutem krajowym lub innymi ustawami austriackimi Wydziałowi Krajowemu“. Dalej Statut Organiczny nadał jej jeszcze szereg innych uprawnień, z których najważniejszymi są: 1) prawo wypracowania dla Rady Ministrów projektu



ustaw o podatkach śląskich (art. 5), 2) inicjatywa ustawodawcza (art. 23), 3) prawo zatwierdzania rozporządzeń wojewody (art. 28), 4) wydawanie razem z wojewodą przepisów przejściowych o używaniu języka polskiego i niemieckiego w urzędach, szkołach i t. d. (art. 29).

Wynika z tego, że Rada wojewódzka jest organem ustawodawczym i administracyjnym, co pod niejednym względem krępuje wolność wojewody, tembardziej, że jest co do narodowości i przynależności partyjnej swych członków mieszana.

Do kompetencji ustawodawczej Sejmu śląskiego należą różnorodne materje, które są szczegółowo wyliczone w artykułach od 4 do 8 włącznie. Od Sejmu śląskiego zależą między innymi tak ważne przedmioty, jak organizacja policji i żandarmerji, szkolnictwo ogólnokształcące i zawodowe wszelkich typów i stopni, ustalanie corocznie budżetu śląskiego i zatwierdzanie zamknięć obrachunkowych, wreszcie obszerna dziedzina skarbowości, w której „stosunek systemu podatkowego śląskiego do systemu podatkowego państwowego i wzajemny stosunek administracji skarbowej państwowej i śląskiej będą ustalone w równobrzmiących ustawach: państwowej i śląskiej“ (art. 5). Skarb śląski wyposaża i dotuje wszystkie urzędy i wszystkich urzędników wojewódzkich, Skarb Państwa zaś utrzymuje sądownictwo, pocztę, kolej i urząd górniczy. Ustawy podatkowe, uchwalane przez Sejm i Senat, muszą być sankcjonowane przez Sejm śląski, jeżeli mają obowiązywać w województwie śląskiem. Na tem tle powstały już różne zatargi i konflikty kompetencyjne. Z tej też racji „ustawa o rozbudowie miast“ nie obowiązuje na Śląsku, pomimo, że właśnie w tej części kraju ruch budowlany mógłby w pewnej mierze załagodzić straszliwą nędzę mieszkaniową i przyczynić się do częściowego zażegnania bezrobocia.

Nieokreślone stanowisko z racji tego dualizmu skarbowo-ustawodawczego mają też niektóre kategorie urzędników, bo nie są oni właściwie ani urzędnikami państwowymi ani autonomicznymi. Odnośni ministrowie narażeni są z tego powodu na przeróżne przykrości. Tak ma się sprawa mianowicie z ministrami skarbu i oświaty. Fatalnie również odbija się na życiu narodowym ludności

Śląska zależność wszelkiego rodzaju szkół od Sejmu śląskiego pod względem ustawodawczym, a od wojewody względnie od wydziału oświecenia publicznego pod względem administracyjnym. Niemcy, mając przyznane przywileje przez Konwencję Genewską z 15 czerwca 1922 r. prą całą siłą do zakładania coraz liczniejszych szkół mniejszościowych, czyli niemieckich, co z drugiej strony wywołuje oburzenie patriotycznej części ludności polskiej na wojewodę i wydział oświecenia, którym zarzuca zbytnią uległość i zaniedbywanie interesów polskich. Lawirowanie w tej sytuacji jest trudne i nie na miejscu. Władze muszą się zdecydować ostatecznie na zajęcie jasnego pod tym względem stanowiska, a mianowicie: szkoły mniejszościowe mają i powinni istnieć wyłącznie dla Niemców, nie wolno atoli dopuszczać do tego, by pracodawcy niemieccy zmuszali groźbami wyrzucenia z pracy, a agitatorzy nakłaniali za różne udogodnienia i za pieniądze rodziców polskich do posyłania dzieci swych do szkół niemieckich. Jeżeli zwykłą drogą tej agitacji niemieckiej nie będzie można zapobiec, trzeba będzie wydać ustawę, która pod groźbą ostrych kar zabroni agitacji wśród ludności polskiej, by stawiała wnioski o zakładanie szkół niemieckich i by posyłała do nich swe dzieci.

Można tu wyliczyć jeszcze długi szereg niedomagań i szkodliwych skutków, jakie pociąga za sobą autonomia śląska. Patriotyczna część ludności na Śląsku coraz głośniejszą sarką na autonomję i żąda jej zniesienia, doszedłszy do przekonania, że przynosi ona korzyści jedynie Niemcom, a zapewnia różne przywileje urzędnikom, którzy zresztą najwyżej w 10% są Ślązakami. Dla tej kategorii mieszkańców Śląska autonomji chyba nie potrzeba. To też autonomję należy jaknajszybciej znieść i zastąpić ją szeroko pomyślanym i rozumnie ułożonym samorządem.

Życzenie to jednakże łatwiej wyrazić niż spełnić. Według bowiem art. 44 Statutu Organicznego można znieść tę ustawę konstytucyjną i ograniczyć prawa ustawodawstwa lub samorządu śląskiego tylko za zgodą samego Sejmu śląskiego. W obecnym jego składzie i przy usposobieniu większości jego członków rzecz to nieprawdopodobna. Dopiero nowy Sejm śląski będzie zapewne mógł tego dokonać.

JAN J. KOWALCZYK

## SPOŁECZNOŚĆ SZLACHECKA

**N**OWSZA socjologia odróżnia dwa rodzaje ludzkiego współżycia: społeczeństwo <sup>1)</sup> (*Gesellschaft*) i społeczność (*Gemeinschaft*). Pierwsze — to związek luźny i powstający na podstawie decyzji ludzi postanawiających założyć go, lub doń należeć. Np. zrzeszenia o określonych celach i interesach. Drugie jest związkiem sięgającym znacznie głębiej w dusze i serca ludzi; opiera się na stałym współżyciu ludzi i na możliwie trwałej i rozległej wspólności w zakresie wewnętrznego i zewnętrznego życia. Przykładami takiego związku są: rodzina, związki ideowe, zrzeszenia religijne, zżyty oddział wojska i t. d.

Jednostka ludzka czuje się zupełnie inaczej w społeczności lub w społeczeństwie. W społeczeństwie jest wprawdzie bardziej swobodna i niezależna, ale jednocześnie odczuwa samotność i obcość otaczającego ją świata. W społeczności natomiast czuje się jak w atmosferze rodzinnej, jest zżyta z panującymi warunkami, z otoczeniem, odczuwa wewnętrzną solidarność z innymi człon-

kami danej grupy, wie, iż liczyć może na ich pomoc i wsparcie, na rezonans psychiczny dla głoszonych, a będących wspólną własnością, zasad, przeżywa to, co inni, razem z innymi. Słabiej natomiast rozwija się wówczas swobodna, niezależna indywidualność.

Różnica między społeczeństwem a społecznością jest tedy dość wyraźna, jakkolwiek jest jeno różnicą stopnia, a nie jakości. Są środowiska, w których bardzo wyraźnie przeważa pierwsza lub druga forma współżycia, ponieważ zaś ma to doniosłe znaczenie i wpływ na działanie i zachowanie danej grupy, przeto zastanowienie się nad tem, jaka forma współżycia była znamionną i dominującą w dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej jest dla zrozumenia procesów historycznych sprawą ważną i ciekawą.

Postaramy się wykazać, iż w życiu dawnej Polski istniał cały szereg czynników sprawiających, że bytowanie szlacheckie układało się w ramach społeczności i to społeczności tradycyjnej t. zn. opierającej się o kult przeszłości.

Wśród poszukiwanych czynników nasamprzód wymienić należy stanowść ustroju Polski. Szlachta była stanem odzielającym się wyraźnie od innych stanów —

<sup>1)</sup> Społeczeństwo\* jest tedy terminem dwuznacznym: raz oznacza wogóle społeczne życie ludzi, innym razem jeno specjalny



i wynoszącym się ponad nie. Stąd wynikała po pierwsze konieczność wspólnego a jednolitego frontu wobec innych. Wspólność podejmowanego w obronie przywilejów działania, bojowe przeciwstawianie się królowi lub senatowi, obcym lub swoim, było źródłem silnego wiązania szlacheckiego stanu; nic tak silnie bowiem nie wiąże ludzi i nie zbliża, jak wspólne, wytrwałe działanie. Zresztą nie tylko w ten sposób zaznaczyła się rola stanowości: w związku z innymi czynnikami, o których zbyt wiele trzeba mówić, wynikające z przewagi stanowej poczucie odrębności i wyższości szlacheckiej rozszerzyło swój zakres i poczęło przejawiać się nie tylko w odniesieniu do stanów innych. Na gruncie dumy z niebywałych wolności stanowych wyrastało już w XVI wieku mniemanie, iż niema w całej Europie tak zacnego i tak sławnego królestwa — jak polskie. Na tem mniemaniu wspierając się, dumnie odrzucała szlachta wzory obce i szła rodzimą drogą. Spoglądała na Europę lekceważąco: przez półtora wieku nie brała z niej nic.

Ścisłe z socjalnem wyobłądzeniem się stanu szlacheckiego z pośród innych stanów i innych narodów, postępowało właśnie wyodrębnienie się kulturalne. Na gruncie swoistego podłoża socjalnego, wyrastała swoista kultura, zrazu związana jeszcze dość żywo z Europą później związek ten zrywająca, w obu jednak fazach dostępna jedynie szlachcie.

Było tedy życie szlachty i socjalne i kulturalne wydzielone z pośród innych stanów (a czasem i odmienne od innych państw) i stanowiące zjawisko swoiste. Szlachta jedynie miała możność przeżywania niedostępnych innym treści kulturalnych; ona jedynie posiadała cały szereg elementów socjalnych innym państwom nie znanych: zespół wolności i przywilejów i to była jej duchowa, a przez przodków przekazana posiadłość, cenniejsza, niż złoto.

Takie zaś wyodrębnienie się szlachty, coraz wyraźniejsze zamykanie się w ekskluzywizmie, niezmiernie sprzyjało wewnętrznemu spojeniu. Im bardziej jakaś grupa wyróżnia się od otoczenia i stanowi oryginalną swoistą całość, tem wyraźniej jest pozostawiona sobie tylko i rodzimoci i tem silniej przez to zespala się wewnętrznie, umysłowo i uczuciowo.

Stanowiąc odrębną grupę, stan szlachecki we własnym obrębie posiadał inne jeszcze wiązania i spójnie, nie tylko te płynące z przeciwstawiania się otoczeniu. Dziedziczna ziemia, dworek na niej zbudowany, portrety antenatów, dawne zbroje i zdobycze — to były widome znaki ciągłości szlacheckiego życia, zapewniające głęboki związek jego pokoleń. Dziś nie zdajemy sobie dość jasno sprawy z tego, jak silną była ta więź; ludzie dzisiejsi nie znają niemal zupełnie swych dziadów i nie mają po nich prawie żadnej pobudzającej pamiętki. Inaczej dawniej: wówczas w atmosferze pradawnego dworku żył duch całej przeszłości minionej, rzuciły się w oczy dawne przodków ryszunki, bogactwa, posiadłości, kołatały do serc opowieści o dawnych czynach, zwycięstwach, przewagach. To był świat wyniesiony ponad zmienność ludzką, a jednocześnie otoczone blaskiem oroku, poważania i czci.

Nie tylko dziedziczne osiedle stanowiło silną więź szlacheckiego stanu. Był nią i herb. Rozszerzał on rodzinę wzdłuż i wszerz. Wiazał żyjących z przodkami takimi, o których poza herbem właśnie, żadna już nie ostała pamiętka, wiazał również i z potomkami, którzy ten herb kiedyś nosić będą. Rozszerzał zakres rodziny i wszerz, ponieważ wiazał żyjących współkolejnotników, którzy niejednokrotnie nie mieli innych więzów wzajemnych ponad herb wspólny, wytwarzał między nimi nastrój zaufania, zgody i pokrewieństwa. Pod wpływem humanizmu i dumy szlacheckiej kult owych wartości i rodowych stawał się coraz silniejszy.

Po tem, cośmy już powiedzieli, łatwo zrozumieć silne upodobanie szlachty w życiu gromadnem, zbiorowem, towarzyskiem — jednym słowem we wspólnocie przeżywania. Szlachta prowadzi bujne życie towarzyskie i posiada silny pociąg do takiego trybu życia. Właściwość tę wyrażają nie tylko ludzie tacy, jak Rej i Pasek — ale i tacy jak Kochanowski, czy Sobieski, choć ci znają już i powaby samotności. I jedni i drudzy są też reprezentatywni dla swoich środowisk: dla szarej szlachty wielbiącej „przejażdżki i wdzięczne biesiady między przyjaciółmi i w domku swoim“, wspólne polowania, wspólne zabawy, wspólne wyprawy, i dla elity umysłowej, żądnej życia się podczas uczt wspólnych i dysput zbiorowych. Towarzystwo szlachty, żywa potrzeba wspólnoty przeżywania wyraziła się i w Rzeczypospolitej Babińskiej i różnych przejawach wieku XVII, słusznie scharakteryzowanego przez Brücknera, jako czasy rozkwitu masy.

Wszakże nie tylko czynniki natury towarzyskiej wywołują i zaspakajają potrzebę wspólnoty przeżywania. Przyczyniają się i prądy kulturalne: głównie reformacja XVI wieku była podłożem całego szeregu zebrań, zrzezeń czasowych i stałych synodów, dysput, zgromadzeń, na których spotykała się szlachta różnych okolic, zapoznawała ze sobą i wchodziła w bliższe związki. Najdonioślejszą wszakże rolę odegrał ustrój państwowy, apelujący wciąż do zbiorowości. Sejmy i bezkrólewia, konfederacje, zjazdy i sejmiki, przeróżne zebrania lokalne i ogólne, wszelkiego rodzaju zgromadzenia stanu szlacheckiego zbliżają rzesze szlacheckie wzajem do siebie i wiążą silnie.

Na tle oddziaływania omówionych czynników zrozumieć pewną znamioną właściwość ówczesnego życia szlacheckiego, nadającą mu jeszcze wyraźniejsze zabarwienie rodzinne i swojskie. Właściwością tą jest uczuciowość. Na podłożu socjalnem sprzyjającym przyjmowały się, prędko i bujnie, jej ziarna rzucane przez prądy kulturalne. W szczególności reformacja posiadała ich wiele: żywe uczucie w stosunku do Boga, namiętne ścieranie się różnych wyznań, wizje bożego gniewu, psalterze i kancjonały. I humanizm budzący żądę sławy i wykształcający się niezależnej indywidualności, ukazujący piękno w życiu i radość, wiódł do podniesienia uczuciowości.

Cały szereg wydarzeń, od klęsk politycznych, a na normalnych funkcjach społecznych życia skończywszy, ujmuje szlachta w kategorie uczuciowe. Taka zaś postawa sprawia, iż życie polityczno-społeczne traci swój obiektywizm, swą surowość i chłód, stając się jakby zespołem wydarzeń prywatnych, domowych. Oto podczas sejmu 1562/3 przychodzi nowina o wzięciu Połocka; wiadomiam o tem Kanclerza w mowie żalostnej tak, iż „wielu senatorów, wielu posłów *lachrimas emitebant*. Król płakał. *Permoverat* ta żalostna nowina *totum populum*. Po tej rzeczy kanclerzowej uczynił przemowę król, z częstem ocieraniem oczu swych łez pełnych“. Podobnie i inne klęski, lub ich przypomnienia przyjmowane są przez izbę z „bolesnem sercem, smętnymi twarzami, zapłakanemi oczyma“ a z małą dozą trzeźwego poczucia państwowego i politycznej orientacji. O unji polsko-litewskiej mówi się stale w terminach miłości braterskiej żywe są pragnienia, „aby ten zacny akt tej wiecznej spólności nie jedno papierem albo pergaminem, ale miłością braterską się kończył“. Gdy układy się przewlekają i jawi się groźba ich rozbitcia, posłowie „z wielkim płaczem padają na kolana“, proszą tak rzewnie — iż cała izba się wzrusza: „ledwo, który był, któryby albo nie płakał, albo żalem wzruszony nie był“.

Bolesny niewątpliwie brak sprawiedliwości traktuje szlachta z retoryzmem i uczuciowością, miast szukać trzeźwo środków zaradczych: „pojrzyjcie panowie, pro-



sze na ten niepotężny tłum ludzi starych, niewiast i dzieci niedorosłych, którzy teraz z płaczem wielkim leżą u nóg waszych, ręce swe do was wznoszą, was proszą, i poprzysięgają, abyście raczej, gdy ich bronić nie chcecie, ciała ich popalić dali“.

Ów przerost uczuciowości widać jasno w sferze stosunku szlachty do króla — i króla do niej. Wykazuje on tendencję do ułożenia się na podstawach uczuciowości. Dobry król zapewnia szlachtę, iż odnosi się do niej jak najczulszy opiekun, ojciec i gotów dla jej dobra ponieść wszelkie ofiary, jak np. Zygmunt August mówiący na sejmie 1669: „by też żeście się gardła mego napaarli, aby było to z dobrem waszym, tedy to dla was powinienem uczynić tak was miłując, ukazał na gardło palcem, po gardle pomknąwszy zapłakał, by też i to dać na prośby wasze gotowem“. Posłowie odpowiedzieli płaczem i wybuchem wdzięczności. Wogóle szlachta wobec króla mówi najczęściej o wdzięczności, wierności, zaufaniu lub przeciwnie o zdradzie, ale zawsze o procesach psychicznych o wyraźnej zawartości uczuciowej, elementów posłusznej uległości, praworządnego podporządkowania lub krytyki — brak. Takie przeniknięcie życia publicznego elementami uczuciowości prywatnej zbliżało to życie niezmiernie do świata prywatnego, nieledwie domowego, odbierało mu charakter rzeczywistości surowej, obiektywnej, państwowej.

Jeśli teraz uprzytomnimy sobie zjawiska omówione, zrozumiemy dlaczego szlachta czuła się jak jedna rodzina. Podobieństwo warunków bytu, przeciwstawianie się swoim i obcym, wyraźny związek z ziemią i rodowością, wspólność przeżywania i działania, silna uczuciowość — to wszystko składało się na wytwarzanie w obrębie stanu szlacheckiego więzów silnych i głębokich, takich, które serdecznym przymusem wiążą ludzkie serca.

Spółnością tedy, a nie społeczeństwem jest życie szlacheckie. Jednostka czuje się wewnątrznie związana ściśle z innymi; stąd stałym sposobem wyrażania są powiedzenia: „my“, „nasz“, „dla nas“. Czuje w sobie życie grupy i jej dążenia. Życie jednostkowe rozszerza się do zakresu życia grupy, a życie grupy odbija się niby w zwierciadle w duszy jednostki - monady.

Po tem, co się o podstawach tej społeczności mówiło, jasne już jest, iż opiera się ona o tradycję. Wyodrębnienie się i wyniesienie ponad inne stany i nawet inne narody zawdzięcza szlachta — swoim przodkom, ich trudom, ofiarom, zasługom i mądrości. Wielbi też ich za to przy każdej sposobności

i żywi dla nich głęboki kult. Ziemiańska i rodowa konstrukcja życia zbiorowego nawiązuje wciąż do przeszłości, do potęgi i mocy antenatów. Stan szlachecki przeżywa te treści, które dostępne były przodkom i przez nich były stosowane, żyje w świecie ich wytworów i cieszy przekazaniem dobrem, baczy, by ze świętej puścizny nie nie uronić. Wierzy głęboko, że tylko w tych ramach rozwijać się może życie polskie, patrzy z lękiem i obawą na każdą nową drogę, bo sądzi, iż tylko przez przodków wytyczona droga jest słuszna. Poczyna się do żywego związku przeszłych i przyszłych pokoleń szlacheckich.

Ten tradycyjny charakter społeczności uświadamiała sobie szlachta wyraźnie. Czasami to poczucie zyskiwało zgoła religijne zabarwienie: mówiono o królujących w niebie zacnych przodkach i oczekujących przyjscia na ziemię potomkach. Między temi dwiema kategorjami—byłych i przyszłych—żyją ludzie współcześni, których troską wielką jest, aby od przodków wzoru nie oddalić się, aby potomkom zachować Rzplita taką, jaką się od przodków przejęło. Oto np. słowa jednej z broszur 1572: „co jest bardziej sprośnego, niżli praw i Rzplitej a Ojczyzny swej zapomnieć dla pana woli, i testamentu świętych przodków naszych, którzy nie trzeba wątpić, że sąd słuszny przed Bogiem z nami mieć będą; także też i przyszłe potomstwo nasze, które z nieba patrzy, prosząc, aby też wolność i też stateczność a prawdę całą ową do rąk podać, którą nam przodkowie nasi zwierzyli“.

Rozwija się tedy życie szlacheckie jako społeczność tradycyjna. Zakwalifikowanie życia dawnej Polski do specjalnego typu socjologicznego konstrukcji życia zbiorowego, a mianowicie do społeczności tradycyjnej<sup>2)</sup> ułatwia socjologiczne zrozumienie całego szeregu zjawisk i procesów, konstrukcji pojęć społecznych i ich konserwatywnej trwałości, polityki i działania rzesz szlacheckich. W przesyconej rodziną uczuciowością atmosferze społeczności wyrastające pojęcia państwa, prawa, władzy i t. d. noszą na sobie jej głębokie piętno. Jednostka ludzka, wyrastająca w tej atmosferze, ulega jej bezapelacyjnie i nie zdoła się wznieść krytycznym umysłem ponad nią, jakby to mogła uczynić, żyjąc w luźnym społeczeństwie. Żyje i postępuje wrośnięta w społeczność.

Ale o tych sprawach pomówić trzeba oddzielnie.

BOHDAN SUCHODOLSKI

<sup>2)</sup> Wiele o tym typie mówi M. Weber w dziele „Wirtschaft und Gesellschaft“.

## UWAGI NAD PROLOGAMI „KORDJANA“

**D**AWNO już stwierdzono, że pomysł poprzedzenia „Kordjana“ dwoma prologami (z których jeden ma tytuł „Przygotowanie“, a drugi „Prolog“) powstał pod wpływem dwóch prologów, poprzedzających „Fausta“ Goethego, to jest prologu w niebie i prologu w teatrze.<sup>1)</sup>

Podobieństwo „Prologu“ Słowackiego do prologu w teatrze jest czysto formalne. Natomiast podobieństwo „Przygotowania“ do prologu w niebie sięga głębiej, albowiem jest to podobieństwo zasadniczego problemu. I tam i tu jest walka złego z dobrem, szatana z Bogiem. Zachodzi jednak pomiędzy dwoma utworami ta różnica, że u Goethego szatan chce wyrzucić swoją władzę nad jednym tylko człowiekiem, tymczasem u Słowackiego piekło wywiera swoją władzę nad całym jednym narodem.

<sup>1)</sup> Bienenstock. O wpływie poetów niemieckich na twórczość Słowackiego. Kleiner. Juliusz Słowacki, tom pierwszy.

Są pewne, i to bardzo ważne podobieństwa także w szczegółach.

Mefistofeles Goethego mówi do Boga o człowieku z lekceważeniem i pogardą: „Mały bóg świata jest zawsze ten sam—równie pocieszny, jak pierwszego dnia; troszkę lepiej byłoby mu na świecie, gdybyś mu nie dał odblasku światła niebieskiego; on nazywa to rozumem, a potrzebuje tego tylko po to, aby jeszcze być bardziej zwierzęcym od każdego zwierzęcia“. Szatan Słowackiego jest zupełnie tego samego zdania; i on z pogardą mówi o tych robakach, które myślą, i on twierdzi, że ludzie byliby szczęśliwsi, gdyby nie robili użytku z daru światła niebieskiego:

Biada im, jeśli marzeń ziemią nie określa,  
Kołem widzenia — biada, jeśli je przekrocza.

I cieszy się szatan, że filozofowie, ścigając swą myślą treść myśli, wreszcie



...nad ciemną przepaścią zawiśli  
 Obudzili się, w przepaść spojrzeli  
 I zawołali: ciemno! ciemno! ciemno!  
 To hosanna dla was szatanów,  
 To śpiew naszych kościelnych organów,  
 Kto myślał przez godzinę, jest lub będzie ze mną.

Nie dosyć na tem. Podobnie jak Mefistoteles Goethego jest pewny, że uda mu się sprowadzić Fausta z drogi, na której mu światło niebieskie przyświeca, że więc wygra zakład z Panem Bogiem, tak i Szatan Słowackiego jest najpewniejszy, że „wiek, co przyjdzie, ucieszy szatany“, że się w tym wieku naród Polski podniesie i zginie. Mówi wprawdzie, że potem, po swojej zgnie, ów naród

...wroga myślą zabije,  
 Bo myśl jego ogniste ma ramię,  
 Ona, jak powróż, wrogi uwiąże za szyje  
 I związanych postawi na takim pręgiu  
 Ze wszystkie ludy wzrokiem dosięgną i plwaniem;

to znaczy, mówi szatan, że naród Polski wraz z innemi ludami napiętnuje swoich wrogów, którzy go o zgubę przygotowali, mianem tyranów, wrogów wolności: cóż mu jednak przyjdzie z tego moralnego triumfu?

Lecz kto odniesie ostateczne zwycięstwo? Szatan, czy Bóg? W tragedji Goethego, jeżeli Mefistoteles będzie kusił Fausta, to tylko dlatego, że Bóg na to pozwolił. A dlaczego Bóg pozwolił?

Des Menschen Thätigkeit kann allzu leicht erschlaffen.  
 Er liebt sich gleich die unbedingte Ruh:  
 Drum geb' ich gern ihm den Gesellen zu,  
 Der reizt und wirkt, und muss, als Teuffel, schaffen.

Już z tych słów, oraz z tego majestatycznego spo-koju, z jakim Bóg zezwala, żeby Mefistoteles kusił Fausta, widać, że Bóg jest spokojny o los swego sługi.

A jak jest w „Kordjanie“? Czy Polska jest już raz na zawsze rzucona na pastwę szatanowi? Nie; o Polskę troszczą się także potęgi niebieskie: Archanioł zanosi przed tron boży błagalną modlitwę za tą gwiazdą, która się obłąkała w drodze, to jest za narodem, który się za grzechy ojców położył w grób:

Czas, byś go podniósł Boże, lub gromem dokonał,  
 A jeśli Twoja dłoń ich nie ocali,  
 Spraw, by krwi więcej, niżli łez wylali.

A na to Pan Bóg:

...wola moja się stanie!

Jaka to wola, tego Pan Bóg nie mówi, ale i tych czterech słów dosyć, aby się zgodzić na to, że i dla Słowackiego, jak dla Goethego, świat idzie drogą woli Boga, nie szatana. W pierwszej części zamierzonej trylogji, w „Kordjanie“, zwycięża szatan; w części drugiej, o ileby jej treścią było powstanie listopadowe, szatan zwyciężyłby także: naród Polski, zdaniem Słowackiego, wylał więcej łez, niż krwi — zostało „smutne półrycerzy żywych“. Ale część trzecia skończyłaby się prawdopodobnie zwycięstwem nie szatana, tylko Boga. A wnosić to wolno z „Prologu“.

Zakończenie „Przygotowania“ znajduje się w ścisłym związku ideowym z początkiem „Prologu“, o tyle, że pierwsza jego osoba zaczyna swój monolog od modlitwy za ten sam naród, za który się modlił Archanioł:

Boże! ześlij na lud Twój, wyniszczony bojem,  
 Sen cichy, sen przpany, z pociech jasnym zdrojem;  
 Niechaj widmo rozpaczy we śnie go nie dręczy,  
 Rozwiś nad nim kotarę z rąbka niebios tęczy,  
 Niech się we łzach nie budzi przed dniem zmartwychwstania:  
 A mnie daj łzy ogromne i męki konania...

Dawno już domyślano się, że monolog pierwszej osoby „Prologu“ pisał Słowacki z myślą o Mickiewiczu<sup>2)</sup>.

<sup>2)</sup> Józef Tretiak, Juljusz Słowacki, 77.

Mówić jednak krótko bez zastrzeżeń, że pierwsza osoba „Prologu“ to Mickiewicz, jest nieściśłym skrótem myślowym. A nie idzie tutaj o to, że w monologu są złośliwe alluzje do myśli o rządzie dusz—w „Improwizacji“, do apokaliptycznego stylu „Widzenia“ księdza Piotra i do tej nauki „Ksiąg Pielgrzymstwa“, że emigranci polscy są powołani do apostołowania Ewangelji Chrystusowej wśród zmaterializowanych, bijących pokłony ziotemu cielcowi narodów Europy: podłożem a raczej przedmiotem tych wszystkich złośliwości względem Mickiewicza jest prawda, nadto zaś ta złośliwość ma pewien równoważnik — we wspaniałym hołdzie, złożonym (w ostatnim z przytoczonych wierszy) bezgranicznemu w swej ofiarności patryjzizmowi Mickiewicza.

Natomiast nieprawdą jest, aby Mickiewicz życzył kiedykolwiek swemu narodowi „snu cichego w niewoli“ Tej myśli nie wyczytał Słowacki ani w „Dziadach“, ani w „Księgach“: nie usypiać swój naród, ale przeciwnie, pobudzać go do pracy moralnej nad sobą<sup>3)</sup> i do propagandy idei rewolucyjnej wśród narodów europejskich.

Myśl tę wyczytał Słowacki nie w pismach Mickiewicza, tylko w „Hymnie do Polski“ La Mennais'go wydrukowanym (w polskim przekładzie) w „Pamiętniku Emigracji Polskiej“ (w numerze z dnia 8 lipca roku 1832): „Zasypiaj, o Polsko moja, zasypiaj spokojnie; oni mówią, żeś ty w grobie złożona: ja wiem, że to nie grób, ale kolebka... Patrz na jej blade, lecz spokojne w uśpieniu czoło, jaka na niem odbija się ufność! Patrz na jej uśmiechające się usta! Cóż we śnie postrzegła? Maż to być senna męra, zwodząca ją, znikając? Nie, to boska Dziewica, ta, która ona obwieściła swoją królową. Ona to zstąpiła ku niej z wysokości i, jedną rękę kładąc jej na sercu, drugą podniosła zasłonę przyszłości, a za tą zasłoną stojącą wiara ukazała jej wolność“<sup>4)</sup>.

Przypisując Mickiewiczowi modlitwę o „sen cichy“ dla swego narodu, popełnił Słowacki podobny błąd, jakiego się dopuścił w „Beniowskim“ wołając:

Ha! ha! Mój wieszczu! Gdzież wy idziecie?

Nie odróżniał tutaj Słowacki poglądów Mickiewicza od poglądów „Młodej Polski“: podobnież w „Prologu“ do „Kordjana“ nie odróżniał myśli Mickiewicza od wydrukowanego w „Pamiętniku Emigracji“ „Hymnu do Polski“ La Mennais'go. Tak czy inaczej, czy Słowacki cały monolog pierwszej osoby „Prologu“, czy też tylko jego część pisał z myślą o Mickiewiczu, twierdzić krótko i bez zastrzeżeń, że ta osoba to Mickiewicz, (raz jeszcze) nie wolno: karykatura człowieka choćby nawet najłżejsza, nie jest jego portretem, a tem mniej fotografią. W imię ścisłości trzeba przecie odróżniać genezę pomysłu i jego intencję od jego wykonania. Nie daleko szukając, w tym samym „Kordjanie“ rysów do postaci Prezesa dostarczył Słowackiemu po części Niemcewicz, a po części Stanisław Sołtyk; ale prezes nie jest ani Niemcewiczem, ani Sołtykiem, tylko postacią fikcyjną, „Prezesem“, pomimo że, kto wie, może intencją Słowackiego było, żeby czytelnicy „Kordjana“ myśleli, że Prezes to Niemcewicz. Tutaj w „Prologu“, mogło być intencją Słowackiego, żeby w pierwszej osobie czytelnicy domyślali się Mickiewicza. Ścisłe jednak biorąc, ze stanowiska w y k o n a n i a artystycznego, jest to równie, jak Prezes, tylko osoba fikcyjna — „Pierwsza osoba Prologu“.

<sup>3)</sup> Ob. znakomite dzieło Manfreda Kridla: Antagonizm wieszczów, str. 100.

<sup>4)</sup> Na zbieżność myślową tego hymnu z monologiem pierwszej osoby „Prologu“ zwrócił uwagę Józef Ujejski w swem studjum o „Kordjanie“ (Kraków 1909, str. 31).



O drugiej osobie, która drwi sobie z mistycznych zapalów osoby pierwszej, powiedziano, że to sam Słowacki<sup>5)</sup>. Czy jednak nie miał tu Słowacki na myśli raczej emigracyjnych krytyków Mickiewicza, niż samego siebie?

Oto osławiony Jan Czyński na zebraniu demokratów polskich w Paryżu dnia 5 listopada 1833 ironicznie nazwał Mickiewicza „prorokiem przeszłości“ i zarzucił mu, że „szuka on, napełniając nam uszy szumnym słowem w o l n o ś ć, jak zniechęcić naszą emigrację do wszelkich rozpraw i poszukiwań nad przyszłym stanem naszej Polski, zaprasza ją tylko na p o b o ż n e r o z m y ś l a n i a; w z a p a l e s w y m p o e t y c z n y m p o l e c a nawet w jednym ze swych pism cenzurę prasy. Wy-mowne słowa obywatela Czyńskiego — pisze dalej „*La Tribune politique et littéraire*“ — przyjęto z żywym zajęciem“<sup>6)</sup>. Ta właśnie opinia warchołów demokratycznych znalazła znowu echo w pierwszych słowach drugiej osoby „Prologu“, która drwi z „zapalał poety“ i szydzi z jego pobożności:

Ja wam zapal poety na nici rozpędzę,  
Wy śmiejecie się z zapalał mego towarzysza...  
Kto on? do tureckiego podobny derwisza...

Oto osławiony Adam Gurowski — w czasopiśmie „*L'Europe littéraire, Journal de la littérature nationale et étrangère*“<sup>7)</sup> — równie ostro, jak głupio, skrytykował „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa“ i napiętnował Mickiewicza, jako wsteczniaka, prorokującego, że przeszłość powróci, i pełnego „a s c e t y c z n y c h n i e n a w i ś c i w z g l e d e m p o s t ę p u“: tutaj znowu przypominają się słowa drugiej osoby: „do tureckiego podobny derwisza“. Szydzi dalej Gurowski, że się Mickiewicz poczytuje za Mesjasza, poczem dodaje ironicznie: „*avant de se dire prophète, il faut avoir été martyr*“, to znaczy zarzuca Mickiewiczowi, że walczył tylko słowem, a nie walczył czy-

<sup>5)</sup> Ujejski w objaśnieniach w „Kordjanie“ (w Bibliotece Narodowej). Krytykę tego poglądu (i innych) ob. w pomienionej książce Kridla.

<sup>6)</sup> Ob. „Rok Mickiewiczowski“, Lwów 1899, tom I, 174.

<sup>7)</sup> Nr. 68, z d. 7 sierpnia roku 1833.

nem. To też druga osoba „Prologu“ (czyniąc wyraźną alluzję do słów Mickiewicza: „Jesteście wśród cudzoziemców jak Apostołowie wśród bałwochwalców... bijcie ich słowem, a inni ich pobiją mieczem“), mówi:

Miecz w ustach obosieczny — jest to sztylet słowa,  
Którym zabija ludzi głupich albo wrogów.

Oto nakoniec trzeci osławiony warchoł, „Ibuś“ (Józefat Bolesław Ostrowski) — rzucił się także w „Nowej Polsce“<sup>8)</sup> — na Mickiewicza, jako na rzekomego wsteczniaka i wroga postępu, oszczercę Francji i wogóle „zachodniej cywilizacji“, jako na szowinistę, głoszącego „izraelską zasadę“, „że wszystko co nie nasze, jest bezbożne i śmieszne, skazane na wytępienie“.

Słowacki, który choć mieszkał wówczas w Szwajcarii, był pilnym czytelnikiem pism emigracyjnych, znał z pewnością te wszystkie ich głosy o Mickiewicz, i one to prawdopodobnie dostarczyły mu materiału do monologu drugiej osoby, którą też wolno poczytać za uosobienie krytyków Mickiewicza.

Przez usta osoby trzeciej przemawia — tym razem — już niewątpliwie sam autor prologów do „Kordjana“, albo raczej prologów do zamierzonej trylogji. Ta trzecia osoba nie przyznaje słuszności ani pierwszej, ani drugiej:

zwaśnionych obu spędzam ze scenicznych progów.

Rzekomej myśli Mickiewicza o „śnie cichym“ narodu i wierze Mickiewicza w potęgę słowa przeciwstawia Słowacki — przez usta trzeciej osoby — myśl własną, że on Słowacki, wskrzesi lud z prochu, zamkniętego w narodowej urnie, to jest, że odrodzi swoją poezją naród, że go uczyni równie wielkim, równie dzielnym, równie wierzącym w siebie i w swoją przyszłość, jaki był kiedyś.

Takie właśnie zakończenie, w którym się kryje myśl podobna do tej, jaką zawierają w sobie słowa z „Lambra“, umieszczone jako *motto* całej trylogji, upoważnia nas do mniemania, że jej część ostatnia miałaby w sobie „świt narodowych nadziei“, że byłaby, jeżeli nie obrazem, to przynajmniej zapowiedzią odrodzenia narodu.

IGNACY CHRZANOWSKI

<sup>8)</sup> Czwarty półtarkusz, roku 1833.

## KONIEC WYSPY OLIWEK

[Fragment powieści „THE FLYING INN“]

**S**MOK morski, świat opływający, a mieniący się kolorami kameleona, pluskał nurtem blado-zielonym przy brzegach Anglii, lecz toniąciemno-błękitną uderzał o wyspy Jońskie. Z niezliczonego ich mnóstwa jedna, biała płaska skała, stercząca nad roztoczą lazuru, słyęła jako Wyspa Oliwek, nie dla gajów oliwkowych jednak, ale dla paru drzewek, co przez kaprys gruntu czy klimatu wystrzeliły do bezprzykładnej wysokości. Nawet w najskwarniejszych regionach Południa oliwka nie wyrasta wyżej od małej gruszki; te zaś trzy oliwki, stojące na bezpłodnej opoce, uchodzić mogły — pomijając kształt odmienny — za średniej wielkości sosny lub modrzewie północne. Dotyczyła też tej wyspy legenda starogrecka o Palladzie, opiekunce oliwki, bo na morzu dookolnem żyła najdawniejsza baśń Hellady, a z marmurowego tarasu pod oliwkami widać było szarą sylwetkę Itaki.

Na tarasie stał pod gołym niebem stół z przyborami do pisania. Przy stole zasiedli czterej mężczyźni: dwaj w mundurach, dwaj na czarno po cywilnemu; w tyle stanęli adjutantci, oficerowie domu i inni przybocznicy; a za tą grupą parę okrętów wojennych wyciągnęło się sznurem na morzu. Pokój bowiem niesiono Europie.

Po długiej agonji wysiłków załamała się jedna więcej próba obalenia potęgi tureckiej i wyzwolenia plemion

chrześcijańskich. W ostatnim stadjum wojny małe państwa wycofały się, lub zostały do tego zmuszone przez wielkie mocarstwa, i podpisano już cały szereg traktatów pokojowych. Wreszcie zostały tylko cztery strony zainteresowane, ponieważ państwa europejskie, całkowicie uznając konieczność zawarcia pokoju na podstawie propozycji tureckich, chętnie zdali zakończenie rokowań na Anglię i Niemcy, jako na mocarstwa zdolne pokój taki narzucić. Brał naturalnie udział w konferencji pełnomocnik sułtana; był też przedstawiciel jedynej wrogiej potęgi, z którą sułtan dotychczas jeszcze się nie ułożył.

Jedno tylko państewko toczyło do ostatka uporczywą wojnę, odnosząc, do czasu przynajmniej, zwycięstwa budzące w Europie echa głośnie, choć krótkotrwałe.

Mizerny, ledwie że uznawany władca, tytułujący się „królem Itaki“, dokonał we wschodniej połaci morza Śródziemnego czynów tak niezwykłych, że samo przez się nasuwało się porównanie z mężem, którego imię przywodziła na pamięć nazwa wyspy królewskiej. Poeci głosili, że Odys znów powrócił, i nawet ci patrjoci greccy, co byli zmuszeni broń złożyć, ciekawo byli niezmiernie, na jaki szczep grecki, na imię jakiego rodu spłynie chwala bohaterstwa nowego władcy. Ubawiono się więc niepomału, gdy przyszła wieść, że potomkiem Odysse-



wały awanturnik irlandzki, Patrick Dalroy, dawny oficer floty angielskiej, który dla swych sympatyj fenianów popadł w zatarg ze zwierzchnością i wystąpił ze służby.

Rozmaite potem przywdziewał mundury i wielu zaznał przygód; obrywał zaś i zadawał cięgi z jakąś dziwną miną ironiczno-donkiszotowską. W swym państwie był królikiem, a jednocześnie głównodowodzącym, admirałem, ministrem spraw zagranicznych i ambasadorem, lecz zawsze szedł za wolą ludności w najważniejszych sprawach pokoju i wojny, dlatego też uwzględniając życzenia poddanych, przybył na konferencję pokojową. Słynął nie tylko biegłością w sztuce wojennej, lecz także niesłychaną krzepkością ciała i olbrzymim wzrostem. Spotyka się dziś często w pismach modny frazes, że barbarzyńska siła mięśni sama przez się na nic nie zda się w wojnie współczesnej; lecz w twierdzeniu tem tyleż jest przesady, co w poglądzie przeciwnym. W takich naprzykład wojnach na bliskim wschodzie, gdzie cała ludność jest jako tako uzbrojona, a zamachy zdarzają się często, znaczną przewagę ma wódz, co potrafi obronić głowę w niebezpieczeństwie; i wogóle nieprawda, jakoby siła niewiele była warta. Pogląd ten podzielał minister angielski lord Ivywood, który w rozmowie z królem Itaki szczegółowo uzasadnił bezkonkurencyjną wyższość lekkiego modelu tureckiego działa polowego; na co przystał król Itaki, dodając, że mógłby zabrać je i uciec z niem pod pachą. Nieinaczej myślał i pierwszy żołnierz Turcji, straszliwy Oman Pasza, równie sławny męstwem wojennym, jak okrucieństwem w czasach pokoju, na czole noszący bliznę, ślad rany, którą zadał miecz Patricka po trzygodzinnej śmiertelnej walce wodzów, a którą Oman Pasza przyjął bez nienawiści i wstydu, Turek bowiem w takich okolicznościach daje się poznać od najlepszej strony. Nie kwestjonował wartości siły i p. Hart, finansista, a zarazem przyjaciel ministra niemieckiego. Patrick Dalroy podjął się wrzucić kapitalistę do mieszkania oknem frontowym, które on sam wskaże, i cisnął go do sypialni na pierwszym piętrze tak precyzyjnie i pieczołowicie, że np. Hart wylądował na łóżku i od razu mógł rozpocząć kurację. Mimo wszystko jednak, jeden Irlandczyk - atleta na wyspie nie może wiecznie opierać się Europie, to też z wesołością ponurą Patrick zaofiarował wreszcie pokój na warunkach, dyktowanych przez przybraną ojczyznę. Nie mógł nawet wyboksować dyplomatów (do czego nie brakło mu siły ani chęci), bo głos sprawiedliwości szeptał, że oni podobnie jak on spełniają tylko rozkazy. Siedział więc ociężale i sennie przy stoliku, odziany w biało zielony mundur, który sam zaprojektował dla marynarki Itaki. Nieśamowicie jakoś młody na swój ogrom był ten człowiek tur, z potężnym karkiem, niebieskimi oczyma i czerwonym włosom, strzelającym w górę tak prosto, jakby się w głowie paliło — co też niektórzy w istocie utrzymywali.

Najbardziej władczo z obecnych wyglądał sam wielki Oman Pasza, z twarzą groźną, umartwioną ascetyzmem wojen, z włosami i wąsem spalonemi przez błyskawice raczej, niż przez wiek pobielonemi, z czerwonym fezem na głowie i z biegnącą od fezu do wąsów blizną, na którą nie spojrzął ani razu król Itaki. Oczy Paszy nie miały żadnego wyrazu.

Lord Ivywood, minister angielski, byłby może najprzystojniejszym z Anglików, gdyby nie bezbarwne zupełnie włosy i cera. Na tle niebieskiego marmuru morza był jak marmurowy stary posąg o kształtach doskonałych, w którym jednak trudno zobaczyć coś więcej, oprócz gry światła i cieni. Włosy lorda, zależnie od oświetlenia, wydawały się raz jasno-blond, raz ciemno-srebrne. Należał on do mówców parlamentarnych starej szkoły, choć był jeszcze stosunkowo młody. Każdy temat rozkwitał w jego ustach pięknem figur retorycznych, lecz mimo to twarz mówcy nie

ożywiała się nigdy. Niektóre maniery lorda też były przeżytkami dawniejszego parlamentaryzmu: wstawał naprzekład zawsze dla zabrania głosu, jakby znajdował się w senacie, a nie na samotnej skale oceanowej przed trzema słuchaczami.

Więcej w tem jednak było czegoś osobistego, niż w zachowaniu delegata, co siedział przy lordzie Ivywood w milczeniu, i tylko gra twarzy za niego mówiła. Był to dr. Gluck, minister niemiecki, w obliczu nie mający zresztą nic niemieckiego, ni przenikliwości niemieckiej, ni ospałości. Twarz ta miała świeżość fotografii kolorowej i ruchliwość obrazu kinematograficznego, ale szkarłatne wargi nie poruszyły się nigdy, aby wymówić słowo. Migdałowe oczy rzucały blaski opalowe, a małe podkrecone wąsy czasem drgały jak szare wężyki, lecz delegat nie odezwał się ani razu. W milczeniu podał notatkę lordowi Ivywood, który włożywszy okulary wydał się o jakie dziesięć lat starszy.

Na kartce wypisany był porządek dzienny. Punkt pierwszy brzmiał: „Ambasador Itaki żąda repatriacji uprowadzonych po zdobyciu Pylos dziewcząt. Odrzucić“.

Lord Ivywood wstał. Samo piękno jego głosu zadziwiło tych, co słyszeli tego mówcę po raz pierwszy.

„Proszę Waszych Ekscelencyj“ — zaczął — „mąż stanu, którego polityki nie pochwalam, lecz z którym równać się nie mogę, wypowiedział pamiętne słowa: pokój z honorem. Gdy zaś pokój zawierają tacy wodzowie miary historycznej, jak Jego Królewska Mość i Oman Pasza, to zaprawdę święcą pokój z chwałą“.

Tu przerwał na sekundę, ale zdawało się, że cisza morza i skał śpieszy z gromkim oklaskiem, tak świetnie wygłosił te okresy.

„Jedna myśl wszystkich nas dzisiaj ożywia, mimo że wielokroć, i to zasadnie, wynikły między nami różnice zdań w czasie długich i męczących rokowań poprzednich; jedna myśl dzisiaj góruje. Niech pokój będzie tak bezwzględny, jak wojna, i jak wojna nieustraszony“.

Znów urwał i znów posłyszał jakby myślnie oklaski, któremi darzyły go nie ręce słuchaczy, lecz ich głowy. Poczem tak ciągnął dalej:

„Zaprzestaliśmy walki, zaprzestaśmy i targów. Pewne rzeczy muszą pójść w niepamięć, gdy po wzniosłych bojach zapanować ma wzniosły pokój. Jeśli może na cokolwiek się przydać rada starego dyplomaty, to przede wszystkim zaleciłbym nie zakłócać tych przyjaznych czy też rodzinnych stosunków, jakie się wytworzyły podczas zawieruchy. Jestem, przyznając, na tyle człowiekiem starej daty, że uważałbym interwencję w stosunki rodzinne za precedens nader niebezpieczny. Jestem też na tyle liberałem, że nie odmawiam starym zwyczajom muzułmańskim szacunku, jaki mam dla starych zwyczajów chrześcijańskich. Mamyż — stawiano tak przecie tę sprawę — wszczynać wojnę, lub ciskać nowemi oskarżeniami, gdy w sporze idzie o to, czy pewna liczba kobiet opuściła dom z własnej woli, czy wbrew niej? Nie znam dobrawdy kwestji bardziej śliskiej i trudniejszej do rozstrzygnięcia. Pozwolę więc sobie mniemać, iż wyrażę pogląd wszystkich obecnych, twierdząc, że utrzymane być muszą wszystkie istniejące w imperjum ottomańskim związki małżeńskie i stosunki rodzinne wogóle“.

Nie poruszył się nikt, tylko Patrick, dłoń położył na chwilę na głowicy miecza, patrząc na obecnych oczyma gniewem rozsazonemi; potem, cofnąwszy rękę, niespodzianie roześmiał się głośno.

Lord Ivywood nie zwrócił na to uwagi, lecz ponownie nałożył szkła, które go tak wiele starszym czyniły, i rzucił okiem na drugi punkt porządku dziennego. Notatka dr. Glucka brzmiała:



„Coote i Bernsteinowie żądają robotnika chińskiego do kamieniołomów marmuru, Grekom dziś tam się nie ufa“.

„Jednakowoż“ — ciągnął lord Ivywood, „broniąc nienaruszalności takich podstawowych instytucyj, jak rodzina muzułmańska, z drugiej strony jednak wystąpić musimy przeciw zastojowi społecznemu. I nie twierdzimy, że blizki wschód żyć może jedynie wielką tradycją Islamu. Postawiłbym serjo pytanie, czy—zdaniem waszych ekscelencyj—tylko blizki zachód uleczyć może niedomagania blizkiego wschodu? Jeśli trzeba nowych idei, nowej rasy, to rzeczą najbardziej naturalną będzie zwrócić się do tych najżywoźniejszych, najpracowitszych cywilizacyj, co są niewyczerpanymi rezerwami Wschodu. Azja weszła do Europy — daruje tę uwagę Oman Pasza — jako Azja wojownicza, czy nie zobaczymy w Europie Azji pokojowej? Względ ten czyni ze mnie zwolennika projektów kolonizacyjnych“.

Patrick Dalroy wyprostował się pociągnawszy za gałąź oliwną nad swoją głową. Odzyskał równowagę, oparłszy się wolną ręką o pień drzewa, wzrok zaś utkwiał w obradujących, jakby chciał oczy wypatrzeć. Odczuł w tej chwili całą bezsilność siły fizycznej. Mógł wrzucić dyplomatów do morza, lecz nicby stąd nie przyszło. Upelnomocniony nowych do bronięcia złej sprawy, a jedyny pełnomocnik dobrej nie mógłby więcej jej bronić, zdyskredytowawszy się raz na zawsze. Z wściekłości potrząsnął gwałtownie gałęzią oliwki. — Nie przeszkodziło to lordowi, który przed chwilą rzucił okiem na punkt trzeci („Oman Pasza żąda zniszczenia winnic“), wygłaszał właśnie tyradę, która stała się sławna. Znaleźć ją można w wielu podręcznikach sztuki oratorskiej. Mówca doszedł już do jądra wywodów, nim Dalroy, ochłonawszy nieco z pasji i zdumienia zaczął rozumieć jego słowa:

„...przed wiekami wielki mistyk arabski odsunął od ust czarę z winem. Czy rzeczywiście nic nie zawdzięczamy temu szlachetnemu gestowi wyrzeczenia? Czy nic nie zawdzięczamy wstrzemięźliwości dzielnego narodu, długiemu postowi, którym Turcy potępili zatruty powab wina? Przecież w naszym stulaciu najlepiej zdajemy sobie sprawę z tego, że w każdym wyznaniu jest skarb jakiś dla drugich wyznań, że każda religja może pouczyć inne o jakiejś tajemnicy; że wiara do wiary przemawia, kościoły komunikują się nawzajem. Prawdą jest (znów poproszę o wybaczenie mi Omana Paszę), że my, świat zachodni, nauczyliśmy Islam rozumieć wartość pokoju i porządku cywilnego; lecz Islam może nie pozostać dłużny, wnosząc u nas pokój pod tysiączne dachy, zwiastując koniec tego, co było przekleństwem chrześcijaństwa zachodniego i skazaniem cnót jego. W ojczyźnie mojej do przeszłości już należą ohydne orgje nocne, najlepszych rodzin hańbiące imiona. Już i władza ustawodawcza coraz bardziej stanowczo zmierza do wyzolenia mas z jarzma trunku. Zaprawdę dziś dzień żniwny dla proroka z Mekki: oddanie winnic największemu z jego bojowników będzie najpiękniejszą z uchwał, powziętych w tym dniu szczęśliwym,

który wschód uwolni może od plagi wojny, zachód od plagi wina. Mężny władca, co przystąpił wreszcie do układów, ofiarując gałązkę oliwną, dostojniejszą od jego miecza, może być pewien współczucia naszego, jeśli odczuwa dziś żal z powodu rzeczonyj cesji; nie wątpię jednak, iż kiedyś rad będzie, że tak się stało. A teraz przypomnę, że nie tylko latoroślą winną szczyci się Południe. Jest inna święta roślina, której nie plami wspomnienie żadnej nieczystości, żadnego gwałtu, co nie jest winna krwi penteuszowej, ani złamania liry Orfeusza. Przeminiemy i my, jak wszystko na świecie:

Wspaniałe orszak flot szybko topnieje,  
Na diunach popiół ogni już dogasa...  
Patrzcie, wczorajsze nasze sławne dzieje  
Tem dziś, czem Tyru i Niniwy krasa.

Lecz póki słońce świecić będzie, a ziemia żywić, szczęśliwi ludzie, co po nas przyjdą, spojrzawszy na tę wysepkę, słuchać będą opowieści tych trzech oliwek, wiecznie błogosławiących skromnej skale, z której świat pokojem obdarzono“.

Dwaj inni uczestnicy konferencji wzrok mieli utkwiony w Dalroyu: dłoń jego mocniej ścisnęła pień drzewa, fala wysiłku tytanicznego przepłynęła po piersi szerokiej, wtem kamyczek jakiś skoczył pod drzewem, jak konik polny; a potem zwolna uniół się kłęb korzeni, jakby smok dźwigał członki swoje ze snu.

„Ofiaruję gałązkę oliwną“ — rzekł król, potrząsając wyrwanem drzewem, którego cień ogromny szedł na wszystkich radców. „Gałązkę dostojniejszą od mojego miecza — no i cięższą“.

Nowym wysiłkiem cisnął oliwkę do morza. Niemiec, co nie był Niemcem, podniósł przestraszony rękę, gdy cień dotknął go w przelocie. Teraz wstał i jął się oddalać od stołu, widząc, że szalony Irlandczyk wrywa drugie drzewo. Z tem poszło mu łatwiej, zanim posłał je śladem pierwszego, stał z niem chwilę, wyglądając jak magik, żonglujący wieżą.

Lord Ivywood okazał więcej zimnej krwi i wstał, by wyrzucić stosowną naganę. Tylko Pasza turecki siedział nieporuszony, z okiem, jak zwykle, bezbarwnem. Dalroy wyrwał i rzucił ostatnie drzewo — wysepka ogołocona została doszczętnie.

„Tak! — zawołał, gdy ostatnia oliwka plusnęła w wodę. „Teraz odchodzę. Dziś poznałem coś, co gorsze od śmierci, na imię zaś ma: Pokój“.

Oman Pasza wstał i wyciągnął dłoń do Dalroya.

„Słusznie“, — rzekł po francusku — „liczę więc, że spotkamy się jeszcze w jedynem życiu dobrem. Do zobaczenia“...

Po chwili wahania Patrick Dalroy uścisnął czerwoną dłoń wielkiego tyrana i odszedł do swej łodzi, nie spojrzawszy nawet na dyplomatów.

GILBERT K. CHESTERTON  
(przełożył W. J. CHWALEWIK)

## REWOLUCJA

Łańcuchami kajdan pobrzękiwali,  
Jak pies przy budzie,  
Gdy skamle, rwie się, łasi...  
Czekali  
nasi  
ludzie...  
Czekali...  
Gdyby podejść cichutko  
I odjąć łańcuch z kłódką,

Możeby przestali mścić się i łąać...  
Bo już chodziły słuchy, że mogą radę dać  
I rwać łańcuchy...  
Panowie nie wierzyli, bo po co?  
I hojnie się raczyli  
I jadło im mierzyli spokojnie.  
Ale w tem sęk,  
Że łańcuch pękł,  
Że łańcuch pękł nocą...

WŁADYSŁAW JAN GRABSKI



## LIBERUM VETO

Cele rokoszu. — Łąki z lewej strony. — Owładnięcie armją. — Oczyszczanie cudzych domów. — Czego p. minister nie ścierpi, a co cierpi. — Zniesienie uchwały adwokatów lubelskich. — Nowa niespodzianka.

JAM *satis prata biberunt* — już dosyć się łąki napiły — mówiono za Wirgiljuszem w starożytnym Rzymie, gdy usuwano z korzystnych stanowisk gromadę nasyconą, ażeby na nie wprowadzić łaknącą. Też same słowa słyszymy dziś u nas po dokonanych przewrocie. Pomału wydobywają się na wierzch jego ukryte i niezrozumiałe cele. Więc naprzód — inne łąki chcą się także napić. Wiemy zaś, że te z lewej strony dużo potrzebują i dużo mogą wchłonać, że tak powiem... wody. To nawadnianie odbywa się bardzo szybko i obficie. Drugim, może jeszcze ważniejszym celem rokoszu jest ujednostajnienie ducha armji przez wyrzucenie z niej lub upośledzenie oficerów opornych marszałkowi konfederacji, oddanie pod jego rozkazy całkowitej siły zbrojnej i zapewnienie mu w ten sposób wszechmocy, zapomocą której może on wywierać stały nacisk na wszelkie rządy, nie ponosząc za nie żadnej odpowiedzialności, a w razie nieposłuszeństwa druzgotać je piorunami swej samowładczej woli. Armja stała się miljonową bojówką, podległą jedynie swojemu przywódcy. Trzecim celem jest „sanacja moralna“, ale ograniczona do „szujów i złodziejów“ po prawej stronie. Wiadomo, że komenda socjalistyczna, rekrutując swoich szeregowców, nie poddawała ich ścisłej rewizji moralnej i przyjmowała ochotników bez wyboru. Wiadomo również, że między tymi ochotnikami był i jest znaczny procent wychowalców lub kandydatów kryminału, którzy skwapliwie przyczyniają się do wszelkich ruchów rewolucyjnych, bo w nich mogą bezkarnie dopuszczać się najcięższych przestępstw. To też zbawcami świata i przyszłymi „sędziami katów“, są nieraz zwyczajni bandyci, których policja przy połowach znajduje w swych sieciach.

Jak wyglądają niekiedy czyściciele niemoralności i pogromcy winowajców społecznych okazało się na świeżo osądzonym, wielokrotnie karanym złodzieju Trzmielewskim, zabójcy zanego człowieka H. Lindego, którego zastrzelił za mniemane nadużycia skarbowe. Chyba świat nie widział dotąd takiego wypadku, ażeby zbrodniarz był sędzią i katem niewinnego człowieka w obronie rzekomo skrzywdzonego społeczeństwa! Gdyby więc rokoszanie chcieli przeprowadzić „sanację moralną“ w całej rozciągłości zabrudzenia, po obu stronach gościńca Polski, uprzątnięcie nieczystości we własnych domach pochłonęłoby całą ich energję na długi czas; dlatego woleli się ograniczyć do dezynfekowania cudzych.

Następnem zadaniem nowego rządu ma być zniesienie odmienności nastroju w trzech dzielnicach. Odłamy Polski w trzech zaborach ukształtowały się rozmaicie: Rosja wychowała Polaków w nierządzie i bezprawiu, Niemcy — w prawowładności i ładzie, Austria — w słuźalstwie i biurokracym. Różnice te wkorzeniły się tak głęboko w charaktery trzech społeczeństw, że nie mogły dotąd roztopić się nawet w żarze patriotycznych uczuć zjednoczonego narodu. To też gdy wybuchł rokosz, Królestwo Polskie przyjęło go z cierpliwą biernością, Małopolska z gotowością do usług nowemu panu, Wielkopolska z zamiarem bronięcia ładu i prawa. Nie mogli tego zrozumieć stereotypizowani i zmechanizowani w swych przekonaniach socjaliści, najgorsi psychologowie wśród regulatorów życia społecznego, nie liczący się nigdy z naturą ludzką i wtłaczający ją w ramy doktryny. Najtrudniej było im pojąć zachowanie się Wielkopolski, która natu-

ralnym odruchem zwróciła się przeciw rokoszowi i utworzyła Komitet Obrony Narodowej. Przyjęcie delegatów tego związku przez nowego ministra spraw wewnętrznych było klasycznym przykładem spotkania się żywej energii z martwym mechanizmem urzędowości. Nam nie chodzi wcale — mówili oni — o wywołanie ruchu odśrodkowego, o separatyzm dzielnicowy, ale o zachowanie prawowładności, z którą zrosiliśmy się i która nie pozwala nam godzić się z bezprawiem i zamętem. Gdyby p. minister był znawcą dusz ludzkich i ich dziejów, gdyby był psychologiem i historykiem o tyle, o ile nim być powinien mądry polityk i rządca narodu, odpowiedziałby im: Rozumiemy i oceniamy należycie wasze pobudki, ale z jakichkolwiek przyczyn wynikło obecne położenie, musimy wszyscy starać się, ażeby odmiennie ustroje dzielnicowe szarmonizowały się i nie doprowadziły do rozpadu państwa. Tymczasem p. minister nasrożył się groźnie i odpowiedział: Nie ścierpię, ażeby istniały jakiegokolwiek organizacje prywatne, które spełniają czynności należące do państwa. Właściwie należałoby pragnąć, ażeby było jak najwięcej takich organizacyj, ale mniejsza o to. W tej chwili obchodzi nas tylko ostry ton przemowy ministra do poważnych obywateli przybyłych w poważnej sprawie. Prawie temi samymi słowami skarcił Wielopolski deputację duchowieństwa: „Nie ścierpię państwa w państwie“. Wiadomo, jakie były następstwa tego niecierpienia. Wielkopolsanie mogli byli bardzo łatwo w sporze z przedstawicielem rządu odnieść dżalektyczne zwycięstwo. Bo cóżby on odpowiedział, gdyby mu byli rzekli: „Jeżeli pan każe natychmiast rozwiązać się Komitetowi Obrony Narodowej z powodu, że on wkracza w atrybucje państwa, dlaczego pan pozwala istnieć i działać Strzelcowi, który jako niezależna organizacja wojskowa przywłaszcza sobie rolę czynnika państwowego? Dlaczego są tolerowane bojówki i policja socjalistyczna? Dlaczego po ozdobieniu sztandarów armji zdobywającej Warszawę sławą „nieznaną przodkom“ rozdano broń młodym łotrzykom i polecono im strzelać do nieznanych ludzi stojących w oknach? Przecie to były i są najjaskrawsze wkroczenia w atrybucje państwa. Wątpimy, aby p. minister przy największym wysiłku sofistycznym znalazł argument odpierający te zarzuty.

Nie pomógłby mu nawet najbardziej krętacki „mecenasa“. Czytelnicy zapewne pamiętają, że adwokaci lubelscy zobowiązali się nie bronić w sądzie komunistów, jako wrogów państwa. Łatwo wyobrazić sobie, jaką ta uchwała wywowała w większości palestry nie tyle zgrozę, ile trwożę. Ponieważ w każdym procesie jedna strona ma pretensję niesłuszną, przeto w każdym występuje obrońca zły. Ponieważ niema tak wielkiego zbrodniarza, któryby za wysoką zapłatą nie znalazł sobie „mecenasa“, więc nakreślenie jakiegokolwiek granicy adwokaturze grozi wielu uszczupleniem zarobków a niektórym utratą głównej podstawy istnienia. Ci dowodzą, że morderca, złodziej, zdrajca są również wrogami społeczeństwa i państwa, jeżeli więc wolno i należy ich bronić w sądzie, dlaczegoż mają być wyjęci z pod tego prawa komuniści? Rozumowanie to ze stanowiska zawodowego jest logiczne, ale ze stanowiska ogólnej moralności fałszywe. Etyka powszechnie obowiązująca uważa niewinnianie występku za uczestniczenie w nim. Adwokat nie wykracza przeciw tej zasadzie wtedy, jeśli tylko nie dopuszcza rozszerzenia kary poza granicę istotnej winy podsądnego. Ale ilu utrzymuje się w tym obrębie? Większość usiłuje tak wyprać najbrudniejszego zbrodniarza, że wybielonemu brak tylko skrzydeł, ażeby wyglądać na anioła. I w tem właśnie wywabianiu najgorszych plam tkwi nieuczciwość adwokata. W skandalicznej mierze czynią to szczególnie obrońcy komunistów, nawet nie ide-



owców lecz najwykleszych bandytów przebranych za bohaterów. Ponieważ ci bohaterowie występują zwykle w procesach głośnych, ściągających uwagę publiczną, więc karjerowicze palestry chętnie ofiarują im nawet bezpłatnie swój język, który otrzymuje honorarium w rozgłosie. Rada Naczelna adwokatury zniosła uchwałę lubelską. Rozumiemy ten wyrok: jego motywy znajdują się w buchalterji adwokackiej.

Zaznaczyłem już, że nasze życie polityczno-społeczne składa się z samych niespodzianek. Przybyła nowa— pierwszy dzień obrad sejmów. Zdawało się, że dzień ten zagrzmi wszystkimi tonami zgrozy, że będzie straszną rozprawą, że przez salę sejmową przesuną się krwawe cienie setek poległych w bratobójczej rzezi... Nic podobnego. Po burzy, która przewróciła kilkanaście drzew i zerwała kilkanaście szyldów, ludzie rozmawiają bardziej wzruszeni. Nie było tam księdza Panasia.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

## G Ł O S Y

1923 — 1926

**L**UDZIE dobrze poinformowani o tem, jak odbywały się przygotowania do wybuchu, który nastąpił dopiero w maju r. b., utrzymują, że wybuch ten nie tyle był celem przygotowań, ile ich automatycznym rezultatem. Na konspirację rewolucyjną składały się rozmaite motywy, najbardziej dynamicznym była podnieta z Sowdepji, ale podstawą jej było przedewszystkiem manjactwo konspirowania w armji, biorące początek w żywych tradycjach bojówek z r. 1905 i Legjonów. Piłsudski, który pozwolił uważać się za patrona tych zamysłów, nie miał dość siły, aby się im oprzeć wówczas, gdy już syt był rządów i gdy dobrowolnie od steru państwa odszedł. Pewien czas opierał się namowom, ale nie miał odwagi odpowiedzieć konspirantom, że jest przeciwny zażeganiu rewolucji socjalnej, a widocznie nie mógł autorytetem swoim konspiracji przerwać. W rezultacie wciągnęła go ona i uczyniła swym wodzem, czemu z nałogu się poddał. Musiało wreszcie dojść do wybuchu automatycznie, wówczas gdy nie było ani wielkiej ku temu ochoty, ani nawet pretekstu. Brak celu wyraźnego jest widoczny. I dla tego ludziom, logicznie myślącym, zapowiadany ciągle i odkładany wybuch wydawał się nieprawdopodobny. Nikt nie mógł zrozumieć, komu był potrzebny.

Zaczął się to po wyborach do Sejmu. Począł wówczas organizować siły zbrojne, aby Piłsudskiego postawić z powrotem na czele państwa. Po śmierci Narutowicza stronnictwa lewicowe postawiły sobie za cel zbrojenia zwalczanie prawicy. Wtedy to powstał Komitet Związku Obrony Wolności. W podwaliny Związku weszły bojówki socjalistyczne, poddane pod kierunek dawnego P. O. W., potem Związek Strzelecki. Obie te grupy rozporządzały znaczną ilością broni i materiałów wybuchowych. Kierownikami sił bojowych byli wojskowi z Legjonów. Najliczniejszymi bojówkami stały się wkrótce warszawskie i krakowskie, najlepiej przytem uzbrojone w karabiny maszynowe, lekką artylerję i granaty ręczne. Do komitetu naczelnego Związku Obrony Wolności weszli, jak nas informują, pp.: Moraczewski, Daszyński, Barlicki, Malinowski, Hołowacz i inni.

Podczas przesilenia rządów Sikorskiego (wiosna 1923) delegacja Związku postawiła Piłsudskiemu ultimatum, że — albo stanie na czele ruchu, albo Związek sam przystąpi do działania. Program wtedy postawiony obejmował wiele

punktów bardzo znamienitych. Były między innymi postulaty takie: socjalizacja dóbr i lasów i wykonanie natchmiastowe reformy rolnej, reforma administracji przez wprowadzenie rad (sowieców), zamiast wojska milicja ludowa (1 rok 8 mies. służby), zamiast wojewodów i starostów mają być komisarze rządu, rozdział kościoła od państwa, usunięcie z Polski zakonów, autonomia dla Białorusi i Ukrainy i t. d.

Piłsudski jakoby przyjął te postulaty, w każdym razie rozciągnął nad ruchem swój protektorat. Zapewne wtedy ustąpił z przewodnictwa Ścisłej Rady Wojennej. Termin czynnego wystąpienia odkładał, motywując, że chwila w stosunkach międzynarodowych nieodpowiednia. Badano sytuację w Rosji za pośrednictwem jakiejś delegacji, której pomagał Dąbal (podczas targów 1923).

Już w r. 1923 wiadomo było władzom, jakie oddziały wojskowe wciągnięte są do konspiracji, jacy oficerowie są najczynniejsi, kto jest głównym kierownikiem sił wojskowych Związku (Rydz-Śmigły), wiadomo było nawet, że konspiracja uznała za swój plan taktyczny umyślnie rozpuszczać nieprawdziwe pogłoski o zamachu, aby społeczeństwo przestało wreszcie wierzyć w istnienie takich projektów.

Istotnie, społeczeństwo przestało wierzyć, ile że nie mogło zrozumieć psychologii konspiratorów wojskowych, którzy się nie wahałi dogodzić swemu nałogowi nawet przy pomocy rewolucyjnych żywiołów socjalnych, o których wiedzieli, że podłożem ich jest bolszewizm. Nie z woli twórczej rodziła się organizacja, lecz z choroby, trwającej chronicznie od r. 1905. Fatalizm pchał do czynów nikomu niepotrzebnych i niezrozumiałych.

Ale dlaczego władze państwowe zamykały na to oczy, jakie siły polityczne sprawiły, że tolerowano ten ruch, że nie przygotowano się do odporu? — to pozostanie tajemnicą.

W żadnym razie władze nie mogą się wymawiać nieświadomością, bo od jesieni 1923 wiedziały o tem, co grozi; wiedziały też zawczasu o tem, co się gotuje w Krakowie, zanim nastąpił mord ułanów pod hasłem, które było wówczas tak niezrozumiałe ze względu na nazwisko, symbolizujące opiekę nad żołnierzami.

Wiele faktów od tego czasu można wyjaśnić tylko w związku z działaniem podziemnym owej konspiracji. Ferment w „Wyzwoleniu“, powstanie radykalnego stronnictwa chłopskiego i t. p. tłumaczą się nadziejami na rychłe powstanie rad i komisarjatów.

F. S.

### ZNOWU PIEŚNI UKRAIŃSKIE

**Z**WYCIĘSKA fala „odrodzenia moralnego“ obciąża państwo ciężkimi serwitutami, zaciągniętymi przez organizację zamachu wobec rewolucji socjalnej. Niemniej ciężki jest serwitut wobec różnych „mniejszości“ które oczekują autonomji i przystosowania ustroju Polski do ich gustu. Tutaj wracają widma, zdawało się już niepowrotne, lat ubiegłych.

Narazie czepiły się one cieniów Petlury, zamordowanego przez Żyda w Paryżu. Rzecz znamienita, że Żydz, którzy dla symetrii w hasle mniejszości wysuwają pretensje Ukrainy, zgładzili Petlurę w obawie nowych ruchów ukraińskich, które im grożą pogromami. Otóż ten pierwiastek bałkański znowu teraz wypływa w Warszawie.

Dziennik żydowski, półurzędowy „N. Kur. Polski“ donosi, że w dn. 27 czerwca odbyła się w Warszawie uroczysta akademja na cześć Symona Petlury. Śpiewały chóry ukraińskie, za stołem prezydjalnym zasiedli ukraińcy: Kowalski, Lewicki, gen. Salski, a obok nich: Al.



Lednicki, prof. Baudouin de Courtenay, Andrzej Strug, wicemarsz. Sejmu Ignacy Daszyński. Na sali między innymi generałowie: Wróblewski, Dreszer, Składkowski, adjut. Wieniawa Długoszewski, pułk. Ulrich, pułk. Sławek, radny Hołówko, sławetny gen. ros. Al. Babjański i t. p. Wiemy, co znaczy każde z tych nazwisk z osobna i co znaczy zespół złowrogów. Odczytano list Artura Śliwińskiego (oczywiście). Ukraińiec Lwowski przemawiał ślubując, że młodzież ukraińska podejmuje walkę rozpoczętą przez Petlurę i doprowadzi ją do zwycięskiego końca. Chór odśpiewał hymn ukraiński, którego zebrani wysłuchali stojąc.

O ile jest rzeczą wątpliwą, czy posiadana władza i siła zbrojna utrzymają w szachu rozbudzoną rewolucję socjalną, to nie ulega kwestji, że na polu polityki międzynarodowej uśmiecha się sternikom Polski sowita za kłopoty wewnętrzne nagroda: tworzenie nowych państw, nowe wycieczki, bohaterstwa...

Od maja czekaliśmy, któredy też wypłyną na powierzchnię pp. Lednicki i Babjański (Dobczyński i Bobczyński naszej polityki wschodniej). Oczywiście są tutaj w towarzystwie mistrza Struga, patrona Żydów prof. Baudouina, miłośnika sztuk Artura Śliwińskiego, pp. Sławków, Daszyńskich, Świtalskich, Długoszewskich. Jakże niedaleko od ukraińskiego *Requiem* do krotchwili Gogola na temat Chlestakowa. Jakżebyśmy się śmieli, gdyby główną rolę grał Zelwerowicz. Tymczasem jest to dramat polski.

#### „SOKÓŁ“ POLSKI A UROCZYSTOŚĆ W PRADZE

„SOKÓŁ“ polski odmówił udziału w uroczystościach w Pradze, motywując to, związkiem ich z czcią Husa. Z pewnością nikt w katolickiej Polsce nie jest zwolennikiem husytyzmu, i nikt też husytyzmu u nas nie szerzy... Ale zarazem niewielu jest w Polsce takich, którzyby nie sądzili, że korzystne jest dla Polski wszystko to, co się przyczynia do zblokowania przeciwnieckiego słowian. Z tego względu absencja Polaków na zjeździe praskim opatrzona być musi poważnym znakiem zapytania. A fakt ten, jako mający podłoże zasadnicze, a zarazem mogący się stać precedensem na przyszłość, w jakichś okolicznościach podobnych, zasługuje na parę słów analizy.

Socjologiczno-moralną racją idei narodu jest to, że ona dla rzeczywistości najbliższej, zakreślonej osiągalnością ramienia, organizuje pełnych ludzi i to na podstawie dziejowego realizmu i pietyzmu. Narodowiec kocha się w pełni życia, z dziejami związany jest czcią rozumną, działa tak, aby nie osłabić, owszem wzmacniać ten konkretny zespół cywilizacyjno-polityczny, który go wyhodował na człowieka. Dlatego to taki narodowiec, który sam nie jest człowiekiem wierzącym, szanuje przecież wiarę innych, jako faktycznie jedną z sił cywilizacyjno-budowniczych. Narodowiec jest w gruncie rzeczy humanistą, on, właśnie jako narodowiec, a zarazem człowiek cywilizowany, więc obiektywny, uznaje za mniej lub więcej cenne wszystkie wysiłki ku wypracowaniu „prawdy“, byle nie swawolne, na manowcach niedziejowych, nierealnych wybryków indywidualistycznych, ale rzetelne, mające ambicję być cegiełkami przy wspólnym trudzie pokoleń, budujących konkretną cywilizację. Narodowiec Polak czy Włoch, otrząsający się przed wpływami indyjskimi, współczuje z narodowcem Hindusem, broniącym tego właśnie indyjskiego światoglądu przed wpływami Europy. Narodowiec - europejczyk nie dlatego ze wstrętem odwraca się od teozofji, że ona uznaje wszystkie próby religijne ludzkości za cenne,

owszem i on uznaje pełnię życia twórczego; ale dlatego, że teozofja nie jest z ducha europejskiego, że ona marnuje dla polityczno-narodowego życia—jedyne życie, jakie my mamy do rozwoju — energie duchowe swych adeptów, (jeśli nadomiar nie służy sama tajemnym, politycznym również, ale dla narodu złowrogim celom!). Czyżby narodowiec — człowiek religijny, miał uznać Japończyków broniących swego Szintoizmu, muzułmanów broniących swego Allaha, za niegodnych szacunku? Narodowiec-katolik, który wierzy głęboko, że jego religja jedynie zawiera pełnię Prawdy, jest jednocześnie katolikiem wspaniałomyślnym, który sam czyniąc to wszystko, co mu religja i pragnienie szerzenia Wiary Św. nakazuje, do uczuć religijnych innych ludzi odnosi się zawsze z najgłębszym szacunkiem i powagą. Znakomity pisarz katolicki Ernest Psichari nawrócił się, między innymi, i pod wpływem imponującej mu gorliwości religijnej Arabów; inny również katolik francuski i waleczny żołnierz Aug. Cochin, mówi o „bogactwie widoków indywidualnych w budowaniu idei zbiorowej Boga“.

To też, w danym wypadku narodowcy-katolicy niechby raczej Panu Bogu pozostawili sąd nad Czechami z powodu ich kultu dla Husa—który zresztą jest ich narodowym bohaterem i w tem znaczeniu uznawany jest przez najgorliwszych czeskich katolików — a sami wyjazd swój do „Złotej Pragi“ ocenili wyłącznie z punktu widzenia interesów polskich.

SIMPLEX

## PRZEGLĄD POLITYCZNY

O naprawę ustroju — Projekt Zw. Ludowo-Narodowego — Dymisja i wybór marsz. Rataja — Niebezpieczeństwo anarchji — Nowy rząd francuski — Kryzys Ligi Narodów.

JEST cechą stronnictw i ugrupowań centrowych, wynikającą z samej ich natury, że nie one dają inicjatywę gwałtownych, radykalnych reform, że zajmują raczej stanowisko umiarkowane, pośrednie, szukają kompromisu między chęcią utrzymania istniejącego stanu rzeczy, a dążeniem do zasadniczej przebudowy. Projekty reformy konstytucji, ogłoszone przez stronnictwa centrowe, przede wszystkim Polskie Stronnictwo Ludowe „Piaśt“ i umiarkowany klub Chrześcijańskiej Demokracji niewątpliwie są jednym więcej dowodem tej reguły. A jednak jakże śmiało, jak radykalne i pełne zdecydowania są te projekty, jeśli porównać je z lęklwym, małostkowym, wszelkich stanowczych decyzji unikającym projekcikiem „reformy“, który po miesięcznych naradach i wahaniach wygotował rząd rewolucji majowej, rząd „przewrotu“! Stronnictwa te, podobnie jak Klub Chrześc. Nar. i Związek Ludowo-Narodowy, mają przynajmniej odwagę spojżenia prawdzie w oczy, mają odwagę stwierdzenia, że nie może być rzeczywistej naprawy ustroju bez naprawy dotychczasowej ordynacji wyborczej, że zmniejszenie liczby posłów jest koniecznością, że bezkarność, wynikająca ze zbyt szeroko pojętej „nietykalności poselskiej“ była jednym z najważniejszych powodów obecnego ponizenia Sejmu w oczach szerokich mas. Nie odrzucając słusznych myśli, zawartych w projekcie rządowym, stronnictwa te czynią z nich tylko fragment reformy, sięgającej głębiej, ogólniejszej i to nawet fragment nie najbardziej istotny, nie najważniejszy.

Z ogłoszonych projektów reformy najpoważniej prze-myślany jest projekt, opracowany przez Związek Ludowo-Narodowy. I w tym projekcie liczone są z istniejącymi na terenie Sejmu możliwościami, wprowadza on jednak zmiany bardzo istotne i doniosłe, wzmacniające władzę



wykonawczą, umożliwiającą przez naprawę ordynacji wyborczej i zwiększenie znaczenia Senatu usunięcie najbardziej palących niedomagań naszego ustroju parlamentarnego, zapewniającą ochronę praworządności przez stworzenie Trybunału Konstytucyjnego i fachowej, z prawników złożonej Rady Stanu. Ważne też znaczenie mają projekty zmian, umożliwiające istnienie Sądów ławniczych oraz ograniczające prawo strajkowania przez pozbawienie tego prawa wojskowych, urzędników i pracowników państwowych oraz pracowników przedsiębiorstw użyteczności publicznej. Śmiało rzec można, iż uchwalenie przez Izby ustawodawcze tych wszystkich reform byłoby krokiem naprzód istotnym i poważnym w kierunku umocnienia Państwa i zapewnienia mu bezpiecznego, normalnego rozwoju.

W chwili, gdy uwaga wszystkich zwrócona jest na najważniejszą sprawę naprawy Konstytucji, epizodem nie tyle doniosłym ile znamienym było ustąpienie marszałka Sejmu Rataja i ponowny jego wybór. Marsz. Rataj, którego stanowisko w dniach zamachu wywoływało uzasadnioną krytykę, wybrany został powtórnie, przy poparciu ze strony lewicy, otrzymawszy 176 głosów na 335 głosujących. Jeśli, jak zaznaczono wyżej, bezkarność prowokacyjnych wystąpień szeregu posłów była jedną z głównych przyczyn upadku powagi Sejmu w społeczeństwie, to marszałek Rataj przedewszystkiem ponosi odpowiedzialność za to, że miękkością swą i brakiem decyzji umożliwiał poniżanie Sejmu ciągłymi hałaśliwymi „obstrukcjami“ i zezwalał na wyzyskiwanie trybuny sejmowej dla antypolskich manifestacji „mniejszości narodowych“ i komunistów. Czy ludzie tego typu — i w Sejmie i w rządzie — będą zdolni przeciwstawić się z dostateczną energią wzrastającemu naporowi anarchii?

A tymczasem niebezpieczeństwo jest groźne. Zajścia w Ostrowcu, Gostyninie, Inowrocławiu wykazują, że tylko bezwzględna stanowczość ze strony władz może zatamować szerzenie się wrogiej Państwu agitacji. To też trudno uwierzyć, że przy tem położeniu mogą jednak znaleźć się w rządzie ludzie, którzy za najpilniejsze zadanie uważają... usunięcie z dotychczasowego stanowiska wojewody Bnińskiego, tego samego wojewody Bnińskiego, którego nazajutrz po zamachu p.p. Piłsudski i Bartel pragnęli zjednać ofiarowaniem mu teki spraw wewnętrznych, o czem prasa oddana zamachowi donosiła pod olbrzymimi tytułami: „Rząd szuka ludzi nieposzlakowanych i zdolnych bez względu na orientacje polityczne“...

\*

W polityce zagranicznej ważnym wydarzeniem jest utworzenie we Francji nowego rządu p. Brianda z p. Caillaux jako ministrem skarbu i zastępcą premiera. Program skarbowy i gospodarczy nowego gabinetu odbiega daleko od postulatów partii socjalistycznej: podstawą jego jest zdobycie zaufania posiadaczy kapitału, a to przez stabilizację pieniądza i równowagę budżetu, osiągniętą nie drogą nowego podniesienia podatków, ale daleko posuniętych oszczędności. Czy to zaufanie zostanie rzeczywiście zdobyte, okaże się niedługo. Pierwszy krok p. Caillaux, usunięcie gubernatora Banku Francuskiego p. Robineau, nie wywarł najlepszego wrażenia. Mimo uspokajających komunikatów i oświadczeń, prasa opozycyjna daje wyraz obawom, czy dymisja ta nie jest wstępem do zniesienia lub znacznego ograniczenia dotychczasowej niezależności Banku Francuskiego wobec rządu. Przytem przeszłość p. Caillaux z czasu wojny utrudnia mu niewątpliwie tę ścisłą współpracę ze stronnictwami narodowymi, od której w znacznym stopniu zależy powodzenie dzieła, które rozpoczął.

Najpoważniejszym jednak zagadnieniem polityki międzynarodowej staje się w chwili dzisiejszej ciężki kry-

zys, przez jaki obecnie przechodzi Liga Narodów, kryzys zagrażający coraz wyraźniej samemu jej istnieniu. Przesilenie przeszło w stan ostry od czasu, gdy Brazylja, nie uzyskawszy stałego miejsca w Radzie, zgłosiła swe wystąpienie z Ligi, zwłaszcza, że rozpoczęła ona jednocześnie politykę czynną, korzystając w tym celu z istniejącej już od roku 1889 instytucji t. zw. „zjazdów panamerykańskich“, t. j. zwoływanych co lat kilka konferencji wszystkich państw Ameryki. Zjazd tegoroczny, który właśnie odbył się w Panamie, powziął rezolucję, zalecającą utworzenie osobnej Ligi narodów amerykańskich. Widoczne jest, iż zarówno Stany Zjednoczone A. P. jak i Brazylja pragną Lidze Narodów nadać charakter instytucji nie ogólno-światowej, lecz raczej europejskiej, z którą Liga amerykańska mogłaby utrzymać stosunki na stopie równości. Słusznie jednak zaznacza paryski „Temps“, że właśnie ów charakter powszechny jest dla Ligi Narodów jedyną racją jej bytu i że utracenie go byłoby równoznaczne z całkowitym upadkiem Ligi i oparciu na niej systemu polityki światowej.

A ponadto wystąpienie Brazylji nie jest bynajmniej jedyną w tej chwili trudnością, jaką Liga Narodów ma przed sobą. Hiszpanja która również nie otrzymała stałego miejsca w Radzie, także coraz niechętniej odnosić się zaczyna do Ligi, czego dowodem ostatni wywiad paryski króla Alfonsa XIII, przestrzegający przed „bardzo złemi skutkami“, jakie wywołać musi „polityka łudzenia narodów“. Jednocześnie zaś, jak donoszą z Rzymu, rząd włoski stoi na stanowisku, że przyjęcie Niemiec do Ligi Narodów przy jednoczesnem opuszczeniu jej przez Hiszpanję i przez Brazylję, zmieniłoby dotychczasową równowagę polityczną tak dalece, że Włochy nie mogłyby pozostać wobec tego faktu obojętne. W tych warunkach wrześnieowe zgromadzenie Ligi Narodów może przynieść decyzje bardzo ważne i nieoczekiwane.

Przed polityką zagraniczną Polski otwierają się wielkie zadania i dalekie perspektywy. Strach pomyśleć, że w takiej właśnie chwili Polska dała światu widowisko wojny domowej i że ster naszej polityki zewnętrznej oddano w ręce indywidualności tych wymiarów, co p. August Zaleski.

IGN.

## WYCHOWANIE NARODOWE

### AGNOSTYCYZM W SZKOLE

Autor niniejszego artykułu, znakomity myśliciel, b. minister oświaty w rządzie Mussoliniego i twórca faszystowskiej reformy szkolnictwa, jest zdecydowanym przeciwnikiem t. zw. agnostycyzmu, lęku nauczyciela przed podawaniem uczniom pewnych prawd w formie dogmatów, a to w obawie, aby nie gwałcić ich rzekomej swobody badania. Artykuł niniejszy poświęcony jest właśnie temu podstawowemu w dziedzinie pedagogiki zagadnieniu.

Od dłuższego już czasu jestem zagorzałym przeciwnikiem wszelkiego, a więc również i politycznego agnostycyzmu w szkole. Nie lubię cytować słów własnych, co zresztą byłoby niepotrzebne, muszę jednak zaznaczyć, że propagowałem tę ideę wtedy jeszcze, gdy nie było nawet mowy o marszu na Rzym. Nie to więc wpłynęło na ukształtowanie się moich przekonań, jak sądzą niektórzy moi przeciwnicy, zresztą może w dobrej wierze.

Szkola musi wyłączyć wszelką możliwość agnostycyzmu religijnego i filozoficznego, jak wyłącza agnostycyzm w dziedzinie moralnej. Nie może być tolerowany w szkole również agnostycyzm polityczny. Agnostycyzm jest zawieszeniem sądu, a więc w tym wypadku usunię-



ciem się od czynnego współdziałania z tym lub owym kierunkiem politycznym, mówiąc właściwie, jest oddzieleniem osobowości od życia. A przecież, jeśli się tego chce naprawdę, można życie uczynić wzniosłym i szlachetnym, jest ono niem jednakże tylko wtedy, gdy się rozwija podług określonych zasad i prądów społecznych. Agnostycyzm wychowuje ludzi przyglądających się życiu z mniejszą lub większą obojętnością, pozbawionych wszelkiego poczucia odpowiedzialności i prawdy moralnej, wśród której żyjemy i której prąd unosi nas mimo naszej bezczynności czy nawet niechęci, szkoła tedy, która wkracza na drogę agnostycyzmu, zaniedbując wypełniania właściwych swych zadań konstruktywnych w dziedzinie życia moralnego, staje się czynnikiem rozkładu, burzycielką najistotniejszych podstaw życia duchowego narodu.

I to właśnie jest przyczyną dla czego zwalczamy t. zw. szkołę „bezwynaniową“, o której na szczęście od paru lat już się prawie nie słyszy. Dobry to znak, świadczący, że mimo ignorancji, zakorzenionych przesądów i złej woli coś jednak w tym kierunku naprawy już uczyniono. Wszak doniedawna jeszcze było niemal dogmatem, że należy uszanować w dziecku wolność sumienia i nie narzucać mu żadnych przekonań religijnych, przez co właśnie przedwcześnie zaprzętało umysł dziecka zagadnieniami wiary, którą przecież będzie mogło przyjąć lub odrzucić swobodnie dopiero później, gdy oczy jego staną się już całkiem otwarte a umysł dojrzały. Wydawało się, iż był to poprostu wybieg, mający na celu odsunięcie *ad calendas graecas* chwili świadomego z a a k c e p t o w a n i a wiary, którą chciano całkiem z życia wykorzenić, w rzeczywistości jednak była to raczej naiwność, pochodząca z całkowitej nieznajomości życia ducha ludzkiego, który zawsze jest i wolny i dojrzały i rozważny, a jednocześnie nigdy bezwzględnie wolny, nigdy całkowicie dojrzały, nigdy zupełnie rozważny. Lecz na tem właśnie polega moc jego.

W równym stopniu zwalczamy i zwalczać musimy zasadę agnostycyzmu politycznego w szkole. Szkoła bowiem jest współżyciem nauczyciela z uczniami i wyrazem świadomości istnienia ideałów życiowych, uznawanych przez nauczyciela za własne. Zapewne, polityka często rozdziela, gdy tymczasem szkoła powinna łączyć. I szkoła rzeczywiście łączy poszczególne jednostki w społeczność rozumiejącą się wzajemnie i współpracującą nad tworzeniem obejmującej coraz szersze kręgi cywilizacji. Szkoła jest czynnikiem zbratania nie tylko tych, co żyją w danej epoce, lecz ludzi wszystkich czasów, dając potomkom możliwość pojmowania i jakgdyby przeżywania raz jeszcze życia ich ojców oraz właściwego oceniania tego wszystkiego, co było dla nich pięknem, szlachetnym i wielkim, co było radością ich ducha; jest czynnikiem zbliżenia i zbratania nie tylko ludzi, zamieszkałych w tym samym kraju lub należących do tego samego narodu, lecz ludzi wszystkich krajów i narodów, dzielących się z nami myślami, współpracujących z nami przy tworzeniu olbrzymiego dzieła ludzkiej kultury. To wszystko jest prawdą niewątpliwą i powszechnie znaną. Nieraz przecież wśród najgwałtowniejszej walki politycznej, która z biegiem czasu wydrąży między nami coraz głębsze przepaści, z utęsknieniem zwracamy się myślą ku owym latom radosnym, spędzonym w szkole, gdzie nasi najzaciepsi wrogowie obecni byli blizkimi kolegami, z którymi wspólnie czerpaliśmy z nieśmiertelnego dorobku sztuki i wiedzy wszystkich krajów i czasów. Serce nasze zalewa wtedy fala nagłego wzruszenia, podobna do tej, gdy wspominamy najwcześniejsze lata dziecięce, kiedy to przy ognisku domowym zgromadzała się codziennie cała rodzina, dziś już niestety rozproszona.

Okres jednak dzieciństwa, choćby ono było najpiękniejsze, musi się skończyć. Rodzina z biegiem czasu musi się dzielić. Biada zaś dziecku wychowanemu w ten sposób, że ani kroku nie potrafi stąpnąć bez opieki matczynej i ani na chwilę przekroczyć nie może progu ojcowskiego domu. Szkoła nie może brać udziału w codziennej walce życiowej, wśród mnożących się nieustannie przeciwieństw i sporów. Lecz szkoła powinna przygotowywać swych uczniów do życia. Słuch dziecka, czy też później młodzieńca, musi być nieustannie kształcony, aby stał się wrażliwy i mógł się łatwo orjentować wśród zgiełku życia, które czeka nań wraz ze swojemi zagadnieniami, ze swojemi poglądami sprzecznymi a jednak przeznaczonemi do ostatecznego pojednania. Trzeba dobrze się ćwiczyć w nauce owych zagadnień, a przytem hartować swą wolę, by móc je w przyszłości należycie rozwiązać. I dlatego już jako dzieci musimy w nauce tej zasmakować, musimy troskliwą opieką otoczyć w duszy załazek, który kielkując, winien z czasem zapuścić głębokie korzenie, kształtować moc charakteru i postawić nas w rzędzie ludzi, zasługujących na prawdziwy szacunek.

Nawet Dante może być zrozumiany przez tych jedynie, którzy nie są pozbawieni hartu ducha i mocy przekonań, gdyż on, jako człowiek żyjący pełnią życia, całkowity, przemawia tylko do ludzi całkowitych, czyli równie jak on przejętych zagadnieniami, które życie nam stawia.

Szkoła nie może się ograniczyć jedynie do nauczania gramatyki, matematyki lub innego przedmiotu, będącego tylko ozdobą lub ćwiczeniem inteligencji. Kształtowanie inteligencji musi iść w parze z kształtowaniem charakteru. Trzeba umieć zrozumieć, aby to, co się rozumiało, ukochać. To zaś ukochanie, wypływające z duszy, nie może się różnić istotnie od określonego punktu widzenia, wiary lub pewności sumienia. Nauczyciel, nadający szkole kierunek, musi mieć duszę otwartą i czułą na wszelkie szmery życia, duszę, któraby potrafiła orjentować się z należyłą szybkością, któraby potrafiła zająć stanowisko właściwe, słowem duszę, któraby mogła stworzyć świat własny, będący ostatecznym kryterjum i podstawą działania przy wykonywaniu jego wielkich i trudnych obowiązków.

I dlatego chcemy szkoły narodowej, włoskiej, kierującej się nie tyle poczuciem praw, ile raczej obowiązków wobec narodu, a tem samem obowiązków każdej poszczególnej jednostki, każdego bez wyjątku Włocha. I to właśnie jest naszą polityką świętą i nieprzejednaną, której zaprzaczący nie są bynajmniej rzecznikami wolności myśli i ducha, lecz nędznymi profanatorami świątyni, której strzec musimy gorliwie.

Co się zaś tyczy wolności, owszem, jest ona właśnie boginią świątyni, o której mowa. Wolność jednak nie jest naszym przywilejem naturalnym, lecz ideałem, do którego urzeczywistnienia dążyć musimy, obowiązkiem na nas włożonym, skarbem, za którym tęsknimy i który zdobyć możemy jedynie przez zaparcie się i przez ofiarę.

GIOVANNI GENTILE

## NAUKA I LITERATURA

Z POEZJI WSPÓŁCZESNEJ

**W**IELKA poezja romantyczna, która jest zawsze jeszcze najwyższym wzlotem naszej literatury, nie straciła widocznie po dziś dzień swego uroku, skoro nawet w utworach najmłodszych poetów raz po raz spotykamy jej odgłosy. Jednakowoż inne to znacznie odgłosy, niż wówczas, gdy romantyzm był u nas panującym prądem,



przesunęła się linja zainteresowań — nie ballady i nie powieści poetyckie znajdują u nas wielbicieli i naśladowców, lecz te dzieła trzech wieszczów, które dotąd były niedoceniane, a często nieznanne. Impuls, dany przez badaczy udziela się świadomie lub bezwiednie szerszemu ogółowi czytelników, więc też i poetom, którzy znajdują nowe wzory i nowe natchnienia w dziełach jeszcze nie zużytych, nie spowszedniałych.

Ogromne złomy tyłu niedokończonych lub zdefektowanych dzieł, dochowanych w puściźnie Słowackiego, kusily już wielu pisarzy, którzy usiłowali je uzupełnić, porządkować lub kontynuować. Były to przeważnie próby chybione lub rzemieślnicze łatania, tak postąpiono niegdyś dla celów scenicznych z „Horsztyńskim“, tak też z podobnych względów począł sobie niedawno z „Samuelem Zborowskim“ pewien krytyk, a raczej gaduła literacki. Jedna tylko próba dała wynik nie tylko niezawodny, ale i świetny, był to poemat Wyspiańskiego „Bolesław Śmiały“, podejmujący osnowę „Króla-Ducha“, — dzieło prawdziwie wielkiego poety, więc choć odbiegające od idei poematu Słowackiego, jednakże w zupełności jego godne... jak kopuła św. Piotra, wzniesiona przez Michała Anioła, choć odbiegła od planów Bramanteo, jest godnym uwiecznieniem dzieła, które zapoczątkował budowniczy. Obecnie „Król-Duch“ doczekał się dalszej kontynuacji. Jest nią poemat Zofji Reutt-Witkowskiej p. n. „Pielgrzym“<sup>1)</sup>. Z tytułu już można się domyślić, że tematem będzie pokuta króla Bolesława Śmiałego w klasztorze korutańskim. „Legenda Ossjaku“ (bo taki jest podtytuł) — zwalczana obecnie przez historyków, znajdowała już nieraz wyraz w naszej poezji, dość wspomnieć tak znanego „Mnicha“ Korzeniowskiego, być może wchodziła ona i w zakres zamierzeń Słowackiego. W każdym razie p. Witkowska, która przez swe prace badawczo-literackie wzięła się w ducha poezji juljuszowej, stara się niejednokrotnie snuć dalej wątki, rozpoczęte przez Słowackiego; takim wątkiem jest np. epizod Tochny - Pustelnicy. Niekiedy rytm oktawy do złudzenia potrafi oddać dźwiękowe własności strof „Króla-Ducha“ nawet neologizmy bywają tworzone jakby w myśli Słowackiego; częściej jednak odczuwamy tętno dzisiejszej mowy, nerwowej i niecierplivej, co sprawia, że tu i owdzie, zamiast zwięzłości (jakże w niej celował autor „Króla-Ducha“!) bywają niedociągnięcia i niejasności stylowe, niektóre wyrażenia jak „święte polskie Graale“ trąca banalnością. Najpiękniejsze są strofy rozdziału „Ciężar samotni“, opiewające przemianę duchową króla, dużo w nich rzewności szczerzej i wdzięku. Należytego sądu o całości nie pozwala wydać ciągła pamięć o Słowackim, która mimowoli narzuca nam wysokie wymagania. Autorka to rozumie, więc w „Przedmowie“ rzuca pytanie „Czy są tematy, których w poezji poruszać nie wolno?“ — pytanie to podobne do przedmowy Słowackiego, umieszczonej przed „Wacławem“, który był kontynuacją „Marji“ Malczewskiego...

Nie tak górne loty naszej romantyczności upodobał sobie inny poeta, Edward Walewski, który w Wilnie wydał „Jamb na stulecie Filomatów“ zatytułowany „Wiwlasy“<sup>2)</sup> — bo taką żartobliwą nazwę nadali sobie filomaci. Autor zręcznie podchwytuje ton swobodnych, niewymuszonych wierszy, jakie układał Zan, Czeczott, Odyniec, czy inni członkowie tego bractwa, skończywszy na największym z nich — Mickiewiczu. Spotykamy tu wszystkie postaci znane z III-ciej cz. „Dziadów“, czy z Archiwum i Korespondencji Filomatów, wszystkie zdarzenia pamiętniejsze, wszystkie uczucia i porywy, począwszy od miłostek, a kończąc na hasłach: „Ojczyzna, nauka, cnota“. Wszystko to

<sup>1)</sup> Z. Reutt-Witkowska, Pielgrzym (Legenda Ossjaku). Gebethner i Wolff.

<sup>2)</sup> Edward Walewski, Wiwlasy. Jamb na stulecie filmatów. Wilno 1926. Nakładem Ludwika Chomińskiego.

ujęte w formę sonetów, a opatrzone komentarzem, wprowadza nas doskonale w atmosferę Wilna z przed stu lat.

W ton mickiewiczowskich, „zdań i uwag“ uderzają epigramaty Zegadłowicza: „Ziarna na opoce“, zamieszczone w zbiorcu noszącym tytuł: „Godzinki“<sup>3)</sup>, jak u Mickiewicza, dźwięczy tu głęboka wiara, prosta i mistyczna zarazem, wielka pokora, miłość ludzi i pracy, nie zrażająca się przeciwnościami:

„Oszczerstwo, wyśmiew, wzgarda są dla ducha szkołą — szerzej prężą się skrzydła, gdy pustka wokoło.

Te same nuty, choć bardziej smutne, słyhać w „Gorzkich żalach“ (były drukowane w „Myśli Narodowej“ nr. 3 z. r.); forma kantyczki kościelnej znajduje tu nowe zastosowanie — służy do wyrażenia osobistych uczuć, bólów, rozgoryczeń, zawodów, to znów ufnosci i uspokojenia; łamiący się rytm, przypominający hymn św. Franciszka lub naszą średniowieczną pieśń „o Matce Boskiej pod Krzyżem“, harmonizuje z coraz to nowym łaniem się wewnętrznym duszy. Dopiero w „Zwiastowaniu“, gdzie króluje „otucha, pogoda, radość i słońce“ pieśń rozlewa się spokojnym heksametrem. W cyklu „Miedza“ stanął Zegadłowicz najwyżej; przepiękna ta pieśń, natchniona miłością gleby-żywicieli i miłością ludzkiego serca, wyczarowana szelestem kłosów i wonią ziół polnych, pieśń ze szczerego serca płynąca, nie dla popisu i nie dla tych, co w poezji hołdują snobizmowi i kuglarstwu.

Do grupy „Czartaka“, której niejako patronuje Zegadłowicz, należy Janina Brzostowska. Z dwóch tomików jej poezji, które ukazały się niedawno<sup>4)</sup>, pierwszy jest poświęcony — ziemi; jest to jakby rozmowa z ziemią, rozpamiętywanie jej przymiotów — raz się ta ziemia wydaje poetce „jasną miłością“, kiedy indziej znieawidzoną „za ból dni gorzkich i złych“, raz jest szczytem, z którego patrzy się daleko „w wieczność i nieskończoność“, to znów daje nam tylko pewność, że w niej znajdziemy — grób! Mimo to instynktowne przywiązanie do ziemi przemaga w człowieku wszelkie jego gorycze i nienawiści. Wiersze tego cyklu często rażą zanadto retorycznym patosem, który nieco zaciemnia wątek myśli; to też cieszyć się należy, że przywary tej ustrzegła się poetka w drugim tomiku, mającym za treść uczucia bardziej intymne, bo — miłosne. Naiwnym wdziękiem ujmuje wiersz „Wspomnienie“ — podchwytujący uczucia pensjonarskie. Świeżością i subtelnością pomysłu celuje „Pocałunek niebyły“, spleatanie faktów rzeczywistych z wymarzonemi wyobraźnią jest wogóle cechą najbardziej znamienną i oryginalną tych erotyków — najdobitniej występuje ona w wierszu ostatnim („Ty“):

nigdy nie byłeś i nie będziesz moim,  
więc jesteś moim aż po śmierć, na zawsze.

Oryginalny temat ujmuje Stanisław Bąkowski w zbiorcu „Ścieżki ułomnych“<sup>5)</sup>. Na zbiorek składają się trzy jakby ballady: o „Ślepym Janku“, „Błazku niemowie“ i głuchym „Marku drwalu“; poeta stara się wniknąć „poza twarde, lodowe skały“, które „poodgradzały od świata człowieczeństwo tych ludzi nieszczęśliwych, kaleków“ i zapytuje się, czy może za tą zaporą, poza tym bólem „strasz-

<sup>3)</sup> Emil Zegadłowicz, Godzinki, „Gorzkie żale, Zwiastowanie, Miedza, Ziarna na opoce“. Nakł. księg. Św. Wojciecha.

<sup>4)</sup> O ziemi i mej miłości 1925. Erotyki. 1926. — Wydawnictwo „Czartak“.

<sup>5)</sup> Ścieżki ułomnych, napisał Stanisław Bąkowski, Kraków, 1926 S. A. Krzyżanowski.







gorzy. Łowiłem je w małym jeziorze leśnym, siedząc w łódce uwiązanej u brzegu. Nagle, obróciwszy się, żeby wyjąć z puszek robaka — spostrzegam tura! Nie słyszałem wcale jego kroków. Stał odemnie o jakie sześć metrów. Wytrzeszczał zamglone ślepie, gotując się do skoku. Zaledwie zdążyłem odwiązać łódkę. Gdyby węzeł był cokolwiek bardziej zaplątany — jużby było po mnie. Cliwytam tedy za jedyne wiosło i wbijam je z całej siły w mulisty brzeg. Na szczęście udało mi się odepchnąć. Wypłynąłem na środek jeziora. Byk wpada we wściekłość i zaczyna biegać naokoło wody, wydając raz po raz ryk przeraźliwy...

Prawda, że piękny obraz? Bez porównania bardziej malowniczy od opisów puszczy Józefa Weyssenhoffa. Jeden tylko myśliwy potrafiłby lepiej koloryzować: Imć pan Tartarin z Tarascon'u.

\*

Paul Bourget w swojej ostatniej powieści „*Un danseur mondain*“ (Plon edit.) odmalowuje w sposób bardzo interesujący umysłowość młodej generacji dzisiejszej, którą cechuje nerwowość i potrzeba wrażeń. Bohater powieści, tancerz wielkich i modnych *palaces* woli prowadzić dalej życie niepewne jutra, aniżeli powracać do bezbarwnej, bo spokojnej egzystencji, zdała od sztucznych nastrojów międzynarodowego „eleganckiego świata“.

\*

P. André Maurois, autor „*Les discours du Docteur O'Grady*“, „*Le silence du Colonel Branle*“ oraz znakomitej, pełnej wyobraźni biografii „*Ariel ou la vie de Shelley*“, przerzucił się obecnie na zupełnie odmienny teren. W „*Bernard Quesnay*“ (Nouvelle Revue Française) odmalowuje mało znane, a bardzo ciekawe środowisko przemysłowców północnej Francji, stanowiących niemal „przemysłowe dynastje“. Bernard Quesnay pochodzi właśnie z takiej rodziny. Autor, będący sam właścicielem wielkich fabryk, jest pisarzem, w którego dziele czuć energję nie tylko słowa, ale i czynu.

\*

P. Lucien Romier znany ekonomista i publicysta, który prowadzi obecnie w „*Figaro*“ dział polityki wewnętrznej i napisał bardzo interesującą książkę p. t. „*Explication de notre temps*“, wydał obecnie pierwszą swoją powieść p. t. „*L'Homme blessé*“.

\*

Jenerał Mordacq był szefem gabinetu p. Clemenceau, był dowódcą 30-go korpusu armji nadreńskiej w Wiesbaden, wydaje u Plon'a niezmiernie cenną książkę p. t. „*La mentalité allemande*“. Dzieło to napisane jest w sposób żywy, przystępny. Celem autora jest, aby w szerokich masach społeczeństwa zrozumiano, na czym w istocie polegają owe specjalne cechy umysłowości niemieckiej. „*Caveant consules!*“ ostrzega jenerał Mordacq i wykazuje, że ci, co kierowali polityką francuską po ustąpieniu Clemenceau, nie potrafili z dostateczną siłą dyktować swej woli zwyciężonemu. Zdaniem autora Niemcy mogli zapłacić swe długie wojenne, ale brak energii ze strony sprzymierzonych spowodował, że potrafili oni pieniądze te obrócić na olbrzymie inwestycje wewnątrz kraju, a w oczach zagranicy ogłosić krach finansowy, którego ofiarą padli wyłącznie prawie cudzoziemcy.

\*

W „*Introduction à la vie nationale*“ (Nouvelle Librairie Nationale), p. Van den Broek d'Oberton analizuje konflikt dwóch tradycji, tradycji ludów wędrownych i osiadłych oraz podstawy życia ekonomicznego rasy semickiej i grecko-lacińskiej. Autor badając przenikliwość i głęboko zagadnienie bolszewizmu, dochodzi do wniosku, że obecnie istniejące instytucje społeczne nie potrafią ochronić od niebezpieczeństwa komunizmu. P. Van den Broek d'Oberton jest monarchistą, ale uważa, że wznowienie władzy królewskiej powinna poprzedzić dyktatura.

\*

Gabrjel D'Annunzio wydał nakładem Olivetana w Medjolanie: „*Il libro ascetico della giovine Italia*“. Poeta wojny, obrońca bohaterski Fiume w swej pustelni w Gardone zebrał w jednym tomie swe myśli i medytacje, owoc samotnych rozważań z różnych czasów. Pewna grupa owych medytacyj sięga okresu, gdy pisał on dramaty i laudy, inne, współczesne, zawierają fragmenty liryczne i rozmowy powojenne, poprzedzające epokę, w której powstał „*Venturiero senza ventura*“. Mimo odległości kilkoletniej opisywanych momentów stanów duchowych poety, fragmenty owe stanowią jedną całość, złączoną głębokim uczuciem miłości ojczyzny. W grupie sześciu rozdziałów z czasów między rokiem 1895—1907 są już zapowiedzi i przecucia wieszcz przyszlých wielkich wypadków w życiu potężnej i zwycięskiej Italji Poeta głęboko w nią wierzył i umiał budzić nadzieje młodzieży włoskiej, zachęcając ją do cierpliwej wytrwałości, gdyż przyjdą nie-

zawodnie lepsze czasy. „Wierzą w to tysiące tysięcy innych młodych Włochów, którzy czują palący wstyd za obecny stan rzeczy i potrzebę znalezienia w codziennym wysiłku mocy do bohaterskiego wytrwania i racji bytu“ — tak mówił do młodzieży w roku 1896. Książka obecna jest gorącą apoteozą życia bohaterskiego, poświęcenia na ołtarzu ojczyzny i zwycięstwa ducha dla chwały i wielkości narodu.

\*

Salvatore Gotta, jeden z wybitniejszych współczesnych, pisarzy włoskich, wywołał swą ostatnią powieścią gwałtowną polemikę, ostre krytyki i niemniej gwałtowną obronę. Tytuł książki dość pospolicie brzmiący, nie oddaje bynajmniej znaczenia poruszonego w niej tematu: „*Aurora... la mobile bella*“. Gotta jest w utworach swych jednym z najczystszych tradycjonalistów. Hołduje przeważnie tradycjom z czasów powieści Fogazzara i dba starannie o styl pisarski. Nie przejął się Gotta cyniczną i brudną formą powieści, dogadzającej zwyrodniałemu smakowi klas zubożonych po wojnie, formy uprawianej przedewszystkiem przez Guido da Verona. W powieści ostatniej daje on obraz życia realnego, powszedniego i prostego lecz w atmosferę codzienności autor wprowadza echa walki toczącej się o ideały, dla których gorąco i z wysiłkiem pracują twórcy nowych Włoch. Bohater powieści, inżynier, widzi w podwładnej mu grupie pracowników klasę robotczą całych Włoch i pracuje nad nimi z zapalem i oddaniem, starając się obudzić w nich miłość Boga, ojczyzny i rodziny i dać im sposób „pracowania w radości“. Nowe prawodawstwo syndykalne faszystowskie z jego dążeniem do potęgi przemysłowej kraju, a jednocześnie z dbałością o dobrobyt moralny i materialny robotnika, zobrazowane jest w powieści Gotty. Tem się tłumaczy gwałtowny atak na książkę socjalistów i innych internacjonalnie usposobionych żywiołów, którym, naturalnie, powieść podobać się nie może.

\*

Cała bibliografja działalności Mazziniego będzie niezadługo umieszczona w Genui w domu, który należał niegdyś do tego wybitnego działacza z czasów *Risorgimento*. Rada ministrów, na propozycję Mussoliniego, zdecydowała się wywłaszczyć obecnych posiadaczy domu tego i umieścić tam zbiory bibliograficzne, dotyczące działalności Mazziniego, a także przenieść tam całe genueńskie archiwum epoki *Risorgimento*. Zostanie w ten sposób utworzone centrum kultury, gdzie badacze historii znaleźć będą mogli wszystko, cokolwiek było napisane w świecie o idei i działalności Józefa Mazziniego.

## SZTUKI PLASTYCZNE

WYSTAWA DZIEŁ BRANDTA — WARSZ. SZKOŁA SZTUK PIĘKNYCH

**D**LA kultury artystycznej kraju jest rzeczą ważną, aby znajomość dorobku narodowego w dziedzinie sztuki była możliwie powszechna i dokładna, aby nie zacieśniała się wyłącznie do niewielkiej liczby arcydzieł, ale obejmowała wszelki rzetelny wysiłek twórczy, niezależnie od takich czy innych gustów epoki lub chwilowych kaprysów mody. To też dobrą myśl miał Komitet Tow. „Zachęty“, urządzając zbiorową wystawę dzieł Józefa Brandta (1841—1915), zwłaszcza, że wystawę przygotowano starannie, gromadząc pokaźną liczbę 165 obrazów i szkiców, wśród których nie brak dzieł najbardziej charakterystycznych dla artysty i najwybitniejszych.

Józef Brandt mieszkał i tworzył w Monachjum i to w epoce, kiedy miasto to miało sławę „niemieckich Aten“, a w rzeczywistości ton życiu artystycznemu nadawał płytki, bezduszny akademizm, kiedy w pretensjonalnym „*Künstlerhausie*“ królował oficjalny Lenbach, a w *Neue Pinakothek* dzieła Kaulbachów, Müllera, Stieler'a wieszane były jako wzór dla kształcącej się w malarstwie młodzieży. Żył w Monachjum, sławnym w świecie jarmarku na obrazy, mieście *Kunsthändlerów*, gdzie sprawność techniczna, umiejętność wywoływania efektu w większej były cenie, niż głębia artystycznego przeżycia, rzeczywista potęga twórcza. Żył tam i był ceniony, zany, uznany.

A przynajmniej twórczość Brandta miała cechę swoistą, orwoczną, przyznaną, która go, mimo pewnych cech wspólnych,